№ 4. Warszawa, dnia 15 (27) Stycznia 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

ALEKSANDER PETOEFI.

Minęło właśnie lat trzydzieści trzy, jak poległ na polu walki w Siedmiogrodzie, znakomity poeta węgierski, w chwili gdy twórczy geniusz jego przyszedł ledwie do pełnego rozkwitu i zapowiadał najpiękniejsze na przyszłość nadzieje. W roku zeszłym Węgrzy uczcili pomnikiem lirnika, którego nazwali Tyrteuszem swoim, ale najpiękniejszy pomnik o jakim marzyć może poeta, Sandor Petoefi zbudował sam sobie, pieśń jego bowiem wrosła w serce ludu i żyć w niem będzie wówczas nawet, kiedy czas zatrze złote litery wyryte na spiżie lub marmurze.

Nie wiemy co więcej podziwiać w Petoefim, czy wdzięk i siłę jego pieśni, czy niesłychaną ich obfitość. Przeżył zaledwie lat dwadzieścia sześć, a pozostawił do trzech tysięcy utworów, z których nie jedne, jak ludowa epopea Janosz Witez, znaczne mają rozmiary.

Przyszedł na świat sześćdziesiąt lat temu, roku 1823 w Szabad-Szallar na stepach małej Kumanii. Ojciec jego był zamożnym rzeźnikiem i właścicielem Csardy. Widząc niezwykłe zdolności w synu oddał go wcześnie do szkół w Aszod a następnie do liceum w Selwesz. Chłopiec wielkie czynił postępy w naukach, bujna przecież fantazya, odrywała go od łaciny, a popychała w inną stronę. Spragniony wrażeń i przygód zaciągnął się do wojska.

„Z czysca wpadłem w ogniste piekło! pisze biedny w liście do przyjaciół. Wysłany z półkiem w góry Kroacyi i Styryi, nieodrodny syn stepu uczuł dopiero całą gorycz tęsknoty. Po dwóch latach zaniemógł ciężko, lekarz półkowy zawyrokował, że nie zdolny do służby wojskowej. Uwolniony, lotem ptaka wrócił pod strzechę domową. W drodze idąc brzegiem toczącego się z gór potoku rzewną piosenką wyśpiewał radość swoją.

„Czemu ty rzeczko, pyta wędrowny chłopiec, tak rączo i tak szumno rzucasz się ze skały na skałę, gdy tymczasem chłód grobowy ścina krew w żyłach moich? Czemu? bo ty blizko kolebki gwarzysz z ojczystym lasem!" nagle zmienia się postać rzeczy. Szeroka przestrzeń otwiera się przed okiem wędrowca, góry i lasy pozostały za nim daleko.

Zkądże dziwna ta przemiana?
Czemu, czemu na dolinie,
Tak podąża krok młodziana?
Tak leniwo rzeka płynie?

Czemu zmilkły fale wody,
Co gwarzyły tam na górze?
Czemu pląsa chłopiec młody,
Przy piosenki słodkim wtórze?

Tęskni rzeka za kołyską,
Za górami tęskni swemi,
Śpieszy chłopiec bo mu blizko,
Na ojczystej spocząć ziemi!

Nieśmiało młodzian wstąpił w progi zagniewanego ojca. Łzy dobrej matki, wyjednały mu przebaczenie. Stary rzeźnik pragnął widzieć syna prawnikiem, wysłał go też na wyższe nauki do Papa. Tam Sandor związał się stałą przyjaźnią z Jokajem, słynnym dziś powieściopisarzem. Dwaj młodzieńcy zawiązali towarzystwo literackie wiosny i wciągnęli do grona szkolną młodzież. Petoefi ożywiał coraz to nową pieśnią tygodniowe zebrania. Śpiewał jak skowronek, nie przewidując jeszcze świetnej przyszłości jaka go czeka w poetycznym zawodzie, inną drogą rwał się do sławy, innych spragniony był wawrzynów. Rozmiłowany w Szekspirze i Szyllerze marzył o tryumfie na deskach teatralnych, szczytem gorących jego pragnień było wystąpić kiedyś w roli Hamleta albo Tella. Zaledwie też opuścił szkolną ławę zaciągnął się do trupy wędrownych aktorów.

Rozgniewany ojciec nie chciał odtąd słyszeć o synu. Matka płakała, młodzian tymczasem przebiegał kraj wzdłuż i w poprzecz, zatrzymując się kolejno po miastach i miasteczkach, to w cieniu Karpat, to po nad Cissą i Dunajem. Ale nadzieje tryumfów spełzły na niczem, ani postać Petoefiego, ani zdolności w tym kierunku, nie odpowiadały zawodowi. Drobny, szczupły, bez wyrazistych rysów, bez donośnego głosu, nie mógł występować w wyższej roli. Przerzucał się biedny z jednej trupy do drugiej, wszędzie spotykał nowe upokorzenia. W końcu przyszedł do ostatecznej nędzy, tułał się po stepie bez dachu nad głową, nie raz bez kęska chleba. Ciężką dolę słodzi piosenką, to smętną, to żartobliwą na przemian, „Szczęście wielkie, śpiewa w jednej, że Bóg dał mi zęby z kości a nie z żelaza, w takim razie dawnoby zardzewiały.

Widok stepu rozweselał mu serce, myśl jego porywał w nieskończoność. Depcząc po nim o chłodzie i głodzie z miłością zobrazował go w pieśni:

Pyszne Karpaty w koronie świerkowej,
Wasze uroki serca mi nie wzruszą,
W strome urwiska, w cieniste parowy,
Nigdy marzącą nie zbłąkam się duszą.

Milsza mi stepu przestrzeń niezmierzona,
Step mi ojczyzną nie oddam go za nic,
Jak orzeł z gniazda serce rwie się z łona,
Ku widnokręgom bez brzegu, bez granic!

Tu gdy wieczorem mrok ciemny zapada,
Gdy wiatr sitowiem głucho zaszeleśnie,
W lot się zrywają dzikie kaczek stada,
Z gniazd na jeziorze spłoszone niewcześnie.

Tam stara czarda opodal od sioła,
Gościnne progi otwiera drużynie,
W izbie gromada pasterzy wesoła,
Spiesząc na kiermarz gwarzy przy kominie.

Jak step szeroki niebo z ziemią społem,
Wdzięcznie się styka i nic ich nie dzieli,
Gdzieniegdzie tylko, z pochmurzonem czołem
Odwieczna baszta w obłoki wystrzeli.

Stepie rodzony! O! jakżeś uroczy!
Tyś mnie kołysał, tyś krzepił twą siłą,
Kiedy mi ziemia upadnie na oczy,
Przykryj me kości, bądź moją mogiłą!

Długa włóczęga po kraju, przyniosła prawdziwy pożytek poecie. Nieraz gdy wicher huczał po stepie, a śnieg sypał mu w oczy, Sandor zakołatał nieśmiało w progi chaty, skulony przy ognisku wsłuchiwał się w pieśni dziewcząt i opowieści starych prządek, nie raz latem zabłąkał się pomiędzy Czikosów i Guliazów (*), prowadził z nimi długie rozhowory. Tym sposobem wyuczył się tego, czego w żadnej nie uczono szkole, poznał do gruntu lud wieśniaczy, jego obyczaje, odwieczne jego podania, zżył się z nimi, ukochał go, odczuł i zrozumiał.

Siły poety w końcu się wyczerpały. Chory, znękany, przybył do Debreczyna, tu przygarnął go dawny towarzysz szkolny, pielęgnował w ciężkiej chorobie, a gdy młodość przemogła i zdrowie powróciło, wyprawił go do Pesztu.

Sandor spisywał dorywczo pieśni wyśpiewane w ciągu długiej i nużącej tułaczki. Za przybyciem do stołecznego miasta, zdobył się na krok stanowczy. Zebrał te świstki, zaniósł je do Woeroesmartego, pierwszego podówczas poety. Mistrz ten poznał lwa po pazurach. Wysłuchawszy kilku zaledwie pieśni, zerwał się z miejsca, wyciągnął ręce do młodziana, zawołał z uniesieniem: „Tyś zaprawdę pierwszym węgierskim poetą!"

Ulotne pieśni wydane w roku 1844, rozgłosiły odrazu imię Petoefiego. Przeglądy peszteńskie ubiegać się poczęły o jego współpracownictwo. Wkrótce znalazł stałe zajęcie, w nowo powstałym „Dzienniku Mód" pod redakcyą Emeryka Waskota, powierzono mu dział literacki. Wówczas to poeta rozwinął skrzydła do coraz wyższych polotów. Marnotrawny syn zakołatał w progi rodzicielskie, uczuciem chluby przyjął go stary ojciec, matka powitała go łzami radości. Wszystko uśmiechać się zdawało poecie: serce jego uderzyło gorąco, porwała je śliczna Etelka, siostra Waszota. Oboje słodko marzyli o przyszłości, ale śmierć stanęła między nimi i przerwała te młodzieńcze rojenia. Etelka umarła, Sandor oblał trumne jej rzewnemi łzami i wyśpiewał mnóstwo pieśni nad jej grobem. Pieśni te wydane przez Waszota pod tytułem *Liście cyprysu*, bardziej jeszcze rozsławiły imię poety.

Sława nie mogła jednak zagoić ran zbolałego serca. W rok po śmierci Etelki, dwaj przyjaciele, poeci jak on, wywieźli Sandora w głąb' Karpat. Cześć składana mu po drodze, przekonała, jak dalece imię jego stało się popularnem. W Preszowie, wyprawiono mu owacyą, tłum ludu wprowadził go do miasta z pochodniami. W Gomor magistrat wpisał go w księgę obywateli. Poruszony do głębi serca, stanął Petoefii do poetycznego konkursu, wyśpiewał pieśni na temat *Chata w lesie*. Przyznano mu wieniec. Dajemy w przekładzie ten obrazek tchnący wiejską prostotą:

Jak sen ukrywa miłości skarb młodej,
Tak góry pokryły dach cichej zagrody,
Niech huczą zamiecie, niech wisi grom
[w chmurze,
Nie trwożą tej chaty ni wichry, ni burze.

Nad strzechą porankiem kołyszą się drzewa,
I wietrzyk z poszmerem w ich listki powiewa,
Szczygiełki tam kwilą piosenkę wesołą,
Gołąbki parami gruchają wokoło.

A potok, by jeleń chyżemi poskoki,
Z szalonym łoskotem przesadza opoki,
Kwiat wiotką łodygę pochyla nad wodę,
Zalotnie swą własną podziwia urodę.

Jak krąży rój chłopców nad krasną dziewoją,
Tak pszczółki nad kwiatkiem wesoło się roją,
Ssą z łona miód słodki, w tej chwili uroczej,
Niejedna się z łupem do wody potoczy.

Nad smutnym ich losem słoneczko się żali,
I listek zielony wiatr puści po fali,
Tej łódki zbawienia rój czepia się młody,
A słonko skrzydełka osusza im z wody.

Owieczka po góry przechadza się stoku,
I dwoje jagniątek prowadzi przy boku,
Ta owca z pszczółkami dostarczy sowicie,
Mieszkańcom tej chaty zasobów na życie.

Zasadzki się gołąb' ni szczygieł nie lęka,
Tu ludzka na zdradzie nie stanie im ręka,
Bo z dawna poczciwe poznały tu kmiotki,
Jak powiew swobody rozkoszny i słodki.

Pod jarzmem zbyt ciężkim tu nie gną się
[grzbiety,
Do pracy tu chłosta nie doda podniety,
I tylko niekiedy, Bóg gromem zawoła,
Na grzesznych: „niebaczni, w proch serca
[i czoła."

Lecz dobry to ojciec, nie wytrwa on w gniewie,
Powstrzyma grom w chmurach, wiatr w gro-
[źnym powiewie,
Uśmiechnie się słodko do miłych znów dzieci,
Z tęczą na niebie ten uśmiech zaświeci.

J. K. G.

(*D. n.*)

(*) Pasterz koni i bydła.

Gdzież i kiedy?

Gdzież te gaje te strumienie,
I te lasy, skały, góry?
Gdzież młodości mej marzenie
Rodzinnego nieba chmury?

Tam urocze sny młodości,
Pierwsze płacze, pierwsze śmiechy,
Z pod rodzimej płyną strzechy,
Płyną życiem ku starości.

Gdzież te serca, których bicie,
Dotąd echem w duszy tętni,
Coraz głośniej, milej, smętniej,
Z jakąś piosnką całe życie.

Gdzież te młode, błogie chwile,
Te marzenia, sny, uroki,
Pierwsze chwiejne, młode kroki,
Gdzież te kwiatki i motyle.

Gdzież to wszystko uleciało,
Jako z wiatrem nić pajęcza,
Jako z chmurą jasna tęcza,
Jak to życie, co skonało.

Już was nie ma... jedne płacze,
Smutek wplata w życia sploty,
Dni ubiegłych wśród tęsknoty
Nigdy, nigdy nie zobaczę.

Coraz dalej pozostają,
Coraz więcej serce smucą,
Lecą, giną, nie wracają,
Ach i nigdy już nie wrócą!

Janusz Bończa.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Upłynęło trzy tygodnie. Jan w dniu jutrzejszym, ma wymaszerować z pułkiem na wielkie manewra z ogniem; ma żyć życiem żołnierskiem: dziesięć dni marszu tam i napowrót i dziesięć dni pod namiotem, w obozie de Cercottes, w lesie Orleańskim. Pułk wróci do Souvigny 10 sierpnia.

Jan nie jest już spokojny, Jan już nie jest szczęśliwy. Chwili tego wymarszu z niecierpliwością oczekuje, lecz zarazem i z pewną trwogą... Z niecierpliwością, bo cierpi prawdziwe męki i chciałby uciec od nich... Z trwogą, bo przez tych dni dwadzieścia, nie widząc jej, nie słysząc jej głosu, bez niej nareszcie, co z nim się stanie? Ona, to Bettina! Ją on ubóstwia!

Od kiedy? Od pierwszego dnia widzenia, od tego spotkania, w maju, w ogródku probostwa! Taką jest prawda! Ale Jan się zżyma i walczy przeciw tej prawdzie. Zdaje mu się, że kocha Bettinę od tego dnia, w którym oboje rozmawiali wesoło, po przyjacielsku, w kąciku małego salonu. Ona siedziała na błękitnej kanapce, przy oknie i rozmawiając, bawiła się poprawianiem nieporządku tualety japońskiej księżniczki, ślicznej lalki Belli, która walała się na ziemi, a którą Bettina machinalnie podniosła.

Dlaczego miss Percival przyszła fantazya mówienia mu o tych dwóch młodych osobach z któremi mógł się był ożenić? Zresztą, to pytanie nie

zmieszało go wcale. Odpowiedział szczerze, że jeśli nie miał wtedy żadnej chęci do małżeństwa, to dlatego, że widzenie się jego z temi dwoma młodemi pannami, nie wywarło na nim żadnego wpływu, nie uczyniło żadnego wrażenia. Uśmiechał się gdy to mówił, ale w kilka chwil później, nie uśmiechał się wcale. Te wzruszenia, te niepokoje, on dopiero wtedy je poznawał.

Jan nie łudził się wcale, zbadał i zdał sobie sprawę z głębokości rany: na wskroś przejmującej serce.

Jednakże Jan nie opuszczał się. Tegoż samego dnia, wracając, mówił sobie: „Tak, to głębokie, to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne; a wszakże muszę dźwignąć się z tego. Starał się wytłomaczyć, uniewinnić przed samym sobą szaleństwo swoje, zwalał wszystko na okoliczności. Przez tych dni dziesięć, zanadto był zbliżony z tą cudowną dziewczyną, zanadto sobie byli zostawieni. Jak oprzeć się takiej pokusie? Upoił się jej wdziękiem, jej gracyą, jej pięknością. Ale nazajutrz, dwadzieścia osób miało przybyć do zamku i będzie koniec temu niebezpiecznemu zbliżeniu. On będzie miał dość męztwa, usunie się, zniknie w tłumie, będzie widywał Bettinę daleko rzadziej i nie tak zblizka... Nie widzieć jej wcale, nie mógł i myśleć o tem! Chciał pozostać przyjacielem Bettiny, kiedy nie mógł być czem innem jak przyjacielem! Bo była też i myśl inna jeszcze, która nawet w głowie jego miejsca dla siebie nie miała, ta myśl nie wydawała mu się szaloną, lecz monstrualną. Nie było pod słońcem uczciwszego człowieka nad Jana, a pieniądze Bettiny strachem go przejmowały, wstręt mu sprawiały, wstręt poprostu.

Tłum, rzeczywiście, począwszy od 25 czerwca, począł napływać do Longuevalu. Pani Norton przyjechała z synem swoim Danielem Norton i pani Turner także z synem Filipem: obaj oni, młody Daniel i młody Filip, należeli do sławnego bractwa Trzydziestu-czterech. Byli to jednak dawni przyjaciele, Bettina jako takich ich traktowała i oświadczyła im z całą szczerością: że tylko darmo czas swój tracą. Nie pozbyli się jednak otuchy i tworzyli jądro małego dworu bardzo się krzątającego, bardzo nadskakującego wokoło Bettiny.

Paweł de Lavardens wystąpił też na scenę i w bardzo prędkim czasie stał się przyjacielem wszystkich. Odebrał on wychowanie świetne i skomplikowane, młodego człowieka przeznaczającego się do przyjemności życia i błyszczenia w świecie: kiedy szło o jaką zabawę, on był gotów do wszystkiego, wszystkie umiał, we wszystkiem celował. Wyższość jego sama się narzucała. Paweł został, za zgodą ogólną, dyrektorem i organizatorem zabaw w Longuevalu.

Bettina nie zawahała się ani chwili, skoro Jan przedstawił jej Pawła de Lavardes i ten tylko co kończył obowiązkowy komplemencik, już Bettina, nachylając się do ucha siostry, szepnęła jej cichutko:

— Trzydziesty piąty!

Jednakże bardzo mile przyjęła Pawła, tak mile, że ten przez dni kilka, miał słabość łudzić się nieco. Sądził, że jego osobiste przymioty zjednały mu to szczególnie uprzejme i bardzo serdeczne przyjęcie. Był to błąd wielki. Prezentowany przez Jana, przyjaciel Jana, w oczach Bettiny to były jedyne jego zasługi.

Zamek pani Scott stał się miastem otwartem. Nikogo nie zapraszano na jeden wieczór, ale na wszystkie wieczory i Paweł bywał z entuzyazmem na wszystkich bez wyjątku. Marzenie jego się ziściło, odnalazł Paryż w Longuevalu!

Tylko, że Paweł nie był ani głupim, ani zarozumiałym. Zapewne, był on ze strony miss Percival, przedmiotem grzeczności i łask szczególnych; lubiła rozmawiać z nim długo, bardzo długo, sam na sam nawet... ale jakiż był wieczny, niewyczerpany przedmiot tych rozmów? Jan, tylko Jan, zawsze Jan!

Paweł był lekki, roztrzepany, płochy, ale stawał się poważnym skoro tylko chodziło o Jana; umiał go cenić i kochał go. Nic dla niego nie mogło być przyjemniejszem, nic nie było dla niego łatwiejszem, jak mówić o przyjacielu swego dzieciństwa wszystko co dobrego myślał o nim. A widząc, że Bettina z wielką radością i uwagą go słucha, Paweł puszczał wodze swej wymowie.

Ale Paweł, a był w swojem prawie, chciał jednego wieczora mieć korzyść ze swego rycerskiego postępowania. Tylko co przez dobry kwadrans rozmawiał z Bettiną. Po skończonej rozmowie, poszedł szukać Jana w drugim końcu salonu i rzekł do niego:

— Zostawiłeś mi plac wolny... i walecznie uderzyłem na miss Percival.

— I cóż? sądzę że nie masz prawa być niezadowolnionym z powodzenia wyprawy. Jesteście najlepszymi przyjaciołmi w świecie.

— Tak, zapewne... Idzie to niby... idzie... ale na prawdę, nie idzie wcale. Nic nie może być milszego, bardziej uprzejmego, jak miss Percival, mam nawet zasługę, gdy jej to przyznaję, bo między nami mówiąc, każe mi grać role niewdzięczną i śmieszną, rolę niestosowną dla mego wieku. Cóż u licha! ja mam wiek kochanków, a nie powierników.

— Powierników?

— Tak, mój drogi, powierników! Takie jest moje stanowisko w tym domu! Patrzyłeś na nas przed chwilą, gdyśmy rozmawiali... O! ja mam dobre oczy... nie spuszczałeś nas z oka... a więc! wiesz o czem mówiliśmy z sobą? O tobie, mój drogi, o tobie, tylko o tobie! I co wieczora ta sama historya się powtarza. Pytania bez końca: „Panowie wychowaliście się razem? Braliście lekcye od księdza Konstantego? Czy prędko będzie kapitanem? A potem? Komendantem. A później? Pułkownikiem! et coetera, et coetera..." Ach! Janie, mój przyjacielu, gdybyś chciał urzeczywistnieć piękne marzenie!...

Jan się rozgniewał, uniósł się prawie. Paweł bardzo się zdziwił widząc ten paroksyzm nagłego rozdrażnienia.

— Co tobie jest? Zdaje mi się, że nic nie powiedziałem takiego...

— Przepraszam cię. Nie miałem przyczyny, ale znowu, dlaczego przyszła ci do głowy myśl tak niedorzeczna?...

— Niedorzeczna?... Nie widzę dlaczego niedorzeczna... Wszakże i ja ją byłem powziął dla siebie samego, tę myśl niedorzeczną.

— O! ty...

— Cóż! ja!... Jeżeli ja ją miałem, to i ty ją mieć możesz... Wart jesteś więcej ode mnie.

— Pawle, proszę cię, daj już pokój!...

Nieukontentowanie Jana było widocznem.

— A więc dobrze, nie mówmy o tem... w rzeczy samej, cóżem ja chciał powiedzić?... Oto, że miss Percival znajduje mnie bardzo miłym, bardzo miłym i bardzo miłym; ale żeby miała mnie brać na seryo, nigdy do tego nie przyjdzie z tą małą osóbką. Zwrócę się do pani Scott, bez wielkiej jednak nadziei... Uważ Janie co ci powiem: będę się bawić w tym domu, ale nie pokryję kosztów.

Paweł począł nadskakiwać pani Scott, ale od dnia następnego, z wielkim zadziwieniem natknął się przy niej na Jana; ten bowiem przychodził punktualnie i zabierał miejsce w kółku partykularnym pani Scott, która równie jak Bettina, miała swój dwór osobny. Jan przychodził szukać przy niej opieki, obrony, schronienia.

W dzień tej niebezpiecznej rozmowy o małżeństwach bez miłości, Bettina, ona także i po raz pierwszy, uczuła nagle budzącą się w niej tę potrzebę kochania, która drzemie, ale niezbyt głęboko, w sercu każdej młodej dziewczyny. Wrażenie było toż samo, w tejże chwili i w duszy Jana i w duszy Bettiny. On, przestraszony, gwałtownie w tył się rzucił. Ona, przeciwnie, poddała się dobrowolnie, z całą naiwnością zupełnej swej niewinności, tym nieznanym jej wzruszeniom i rozczuleniom.

Ona oczekiwała miłości... gdyby to była miłość? Człowiek, który miał być jej myślą, życiem, duszą, gdyby to był on, ten Jan! Dlaczegóżby nie? Znała go lepiej aniżeli tych wszystkich, którzy już od roku, kręcili się około jej majątku, a w tem co wiedziała o nim, nic nie było takiego, coby mogło odstręczyć zaufanie i miłość uczciwej dziewczyny. Przeciwnie!

Oboje, zresztą, postępowali dobrze, w zgodzie z obowiązkiem i prawdą: ona nie myśląc ani chwili o nizkiem pochodzeniu Jana, o jego stosunkowem ubóstwie, on, cofając się przed tą kupą milionów, jakby się cofnął przed zbrodnią, ona, myśląc, że nie ma prawa dyskutować z miłością, on, że nie ma prawa wdawać się w kompromis z honorem.

Dlatego to, w miarę jak Bettina czulszą się stawała i z coraz większą szczerością ulegała wpływowi uczucia miłości, Jan z dniem każdym, stawał się bardziej wzburzonym, smutnym i ponurym. On nietylko lękał się kochać, bardziej jeszcze lękał się być kochanym.

Powinien był pozostać u siebie, nie przychodzić... Próbował i nie mógł.. Pokusa była nazbyt silną i brała górę... przychodził zatem... Ona wtedy zbliżała się do niego, z rękoma wyciągniętemi, z uśmiechom na ustach, z sercem w oczach. Wszystko w niej zdawało się mówić: „Probójmy pokochać się, a jeśli możemy, to się kochajmy!"

Strach go przejmował. Te dwie rączki, które spieszyły naprzeciw uścisku jego ręki, on zaledwo ośmielał się dotknąć. Usiłował uciec przed tym wzrokiem, który czuły i uśmiechnięty, ciekawy i niespokojny, szukał jego wzroku. Drżał przed koniecznością mówienia z Bettiną, przed koniecznością słuchania jej głosu. Wtedy to Jan szukał schronienia przy pani Scott, wtedy to pani Scott, słyszała słowa bez związku, pomieszane, wzruszone, które nie do niej się odnosiły, a które ona do siebie brała.

Suzie nie mogła pojąć ich inaczej. O uczuciach niepewnych jeszcze i nieokreślonych, które ją wzruszały, Bettina nic jej nie mówiła. Zatrzymywała w sobie i pieściła się z tajemnicą rodzącej się miłości, jak skąpiec pieści i ukrywa pierwsze sztuki złota, które mają skarb jego stanowić. W dniu w którym jasno już przejrzy w swem sercu, w dniu w którym pewną będzie, że kocha, ach! jakże w tym dniu rada będzie mówić, jak będzie szczęśliwą gdy wszystko przed siostrą wypowie!

Pani Scott sobie więc przypisywała zaszczyt wywoływania tej melancholii Jana, która z dniem każdym, coraz wyraźniejszy charakter przybierała, kobiecie nigdy nie jest przykrem myśleć, że

jest kochaną, pochlebiało jej to wprawdzie, lecz i smuciło zarazem. Miała dla Jana zbyt wiele szacunku, zbyt wiele przychylności, przykro więc było jej myśléć, że jeżeli smutnym jest i nieszczęśliwym, to z jej przyczyny.

Suzie, zresztą, miała poczucie swej niewinności. Z innymi, bywała czasami kokietką, wielką kokietką. Pomęczyć ich trochę, czyż to tak wielką jest zbrodnią? Nie mieli oni nic do roboty, tamci do niczego nie byli przydatni; zajmowało ich to, a ją bawiło; im służyło do przyjemniejszego przepędzenia czasu i jej także... Ale Suzie nie mogła wyrzucać sobie, iżby kiedykolwiek kokietowała Jana; zdawała sobie sprawę z jego wyższości i rzeczywistej wartości o wiele więcej wart był od innych; był człowiekiem, który mógłby cierpiéć naprawdę, głęboko, a tego pani Scott bynajmniej nie chciała. To też, już dwa czy trzy razy, zabierała się pomówić z nim otwarcie, bardzo łagodnie, bardzo przychylnie, lecz później zastanowiła się i wstrzymała... Jan oddalał się na dni dwadzieścia, za powrotem więc jego, jeśli to jeszcze będzie potrzebnem, pomówi z nim i będzie umiała tak się zachować, że miłość nie przyjdzie się wmieszać i nie popsuje ich dobrych przyjaznych stosunków.

Jan zatem wyjeżdżał nazajutrz... Bettina nastawała ze wszystkich sił swoich, aby przybył przepędzić w zamku cały ten dzień ostatni i był na obiedzie. Jan się uchylił, składając się koniecznemi przygotowaniami do wymarszu i obowiązkami służby. Zjawił się późnym wieczorem, około wpół do dziesiątej, przyszedł piechotą, a w ciągu drogi, po razy kilka, o mało że nie wrócił się do domu.

— Gdybym miał dość odwagi — mówił sobie— tobym jej więcej nie zobaczył... Jutro wyjadę i niepowrócę do Souvigny, dopóki ona tu będzie... Postanowienie moje niecofnione.

Jednakże szedł dalej drogą, chciał widzieć ją raz jeszcze... raz ostatni!

Skoro tylko wszedł do salonu, Bettina podbiegła naprzeciw niego:

— To pan? nareszcie!... Dlaczego tak późno?

— Byłem bardzo zajęty.

— I stanowczo jutro wyjeżdżasz?

— Jutro.

— Wcześnie?

— O piątej rano.

— Czy będziecie przechodzić tą drogą co idzie po pod parkiem, a potem przez wieś się ciągnie?

— Tak jest, to nasza droga.

— Szkoda, że tak rano. Byłabym wyszła aby się przypatrzéć i z terasy jeszcze pożegnać pana.

Podczas tej rozmowy Bettina w ręku swojem trzymała rękę Jana, która była rozpalona. On ją wysunął powoli, z wysiłkiem i bólem.

— Muszę — rzekł — pójść przywitać siostrę pani.

— Za chwilę — odpowiedziała — ona jeszcze nie spostrzegła pana... Jest kilkanaście osób koło niej... chodź pan, usiądź tu na chwilę, przy mnie.

Jan musiał obok niej usiąść na kanapce.

— I my także — rzekła — wkrótce wyjeżdżamy.

— Panie?...

— Tak jest, przed godziną, otrzymałyśmy depeszę od mego szwagra, która niezmiernie nas uradowała. Miał wrócić nie prędzej jak za miesiąc, tymczasem przyjeżdża za dni dwadzieścia... Pojutrze wsiada na okręt w New-Yorku, na *Labradora*... My wyjeżdżamy ztąd i w Hawrze będziemy go oczekiwać... Pojutrze jedziemy. Dzieci zabieramy z sobą. Zdrowo będzie dla nich przepędzić nad morzem dni dziesiątek... Jakże będzie on kontent, mój szwagier, z poznania pana... Ale on już pana zna dobrze... We wszystkich naszych listach mówiłyśmy mu o panu. Pewna jestem, że wzajemnie podobacie się sobie. On bardzo dobry... Ile pan dni tam zabawisz?

— Dni dwadzieścia.

— W obozie?

— Tak, pani, w obozie de Cercottes.

— Pośrodku Orleańskiego lasu. Prosiłam proboszcza dziś rano, aby mi to wszystko wytłomaczył. Zapewne, bardzo jestem szczęśliwą, że pojadę naprzeciw mego szwagra, ale z tem wszystkiem rada byłabym i tu pozostać. Co rano odwiedzałabym naszego kochanego proboszcza, on by mi dawał wiadomości o panu... Chcesz pan za dni dziesięć napisać króciuteńki liścik do mojej siostry?... Cztery wiersze, to czasu wiele nie zabierze, tylko, aby jej powiedzieć jak się miewasz a zarazem dać dowód, że nie zapominasz o nas.

— O! zapomniéć... stracić wspomnienie dobroci pani, wdzięku... o! nigdy! nigdy.

Głos jego drżał silnie. Uląkł się swego wzruszenia, powstał z miejsca.

— Daruje pani, muszę już przywitać się z panią Scott... Patrzy na mnie... Musi być zdziwiona żem dotychczas tego nie uczynił...

Przeszedł przez salon. Bettina patrzyła za nim. Tymczasem pani Norton usiadła do fortepianu, ażeby młodzi potańczyć mogli trochę i zagrała walca. Paweł de Lavardens zbliżył się do miss Percival.

— Czy pani raczy mi uczynić zaszczyt...

— Przepraszam pana — odpowiedziała — zdaje mi się, że przed chwilą przyrzekłam panu Janowi...

— W każdym razie, jeżeli nie z nim, to ze mną?

— Chętnie.

Bettina znowu zbliżyła się do Jana, który usiadł przy pani Scott.

— Popełniłam szkaradne kłamstwo — rzekła do niego. — Pan de Lavardens przyszedł zamówić mnie do tańca, a ja mu odpowiedziałam, że panu tego walca przyrzekłam... Wszak dobrze, tańczymy z sobą?

Trzymać ją w swojem objęciu, Jan czuł, że siły jego upadają... Nie śmiał przyjąć.

— Ach! pani, jestem w rozpaczy!... Nie mogę miéć tego szczęścia... jestem cierpiący... Chciałem koniecznie być u pań, aby widziéć je raz jeszcze i pożegnać, dlatego więc przyszedłem... ale tańczyć byłoby dla mnie niepodobnem.

Pani Norton grała ciągle.

— I cóż? — zawołał Paweł przybiegając wesoło — on czy ja, proszę pani?

— Pan — odpowiedziała smutnie, z oka nie spuszczając Jana.

Była zupełnie zmieszana i odpowiadała nie wiedząc sama co mówi. Natychmiast już żałowała, że zaproszenie przyjęła. Tak by chciała przy nim pozostać... Ale już było za późno. Paweł objął jej kibić i w wir walca ją wprowadził.

Jan wstał ze swego miejsca. Wpatrzył się w oboje, Pawła i Bettinę. Jakaś mgła zakryła mu oczy, cierpiał okropnie.

— Jedno tylko uczynić mogę — rzekł w duchu — skorzystać z tego walca i wyjść stąd czemprędzej. Jutro rano, napiszę kilka słów do pani Scott, aby się wytłomaczyć z tego pośpiechu i pożegnać te panie.

Wyszedł z salonu do przedpokoju.. Nie spojrzał już na Bettinę... Gdyby ją zobaczył... byłby pozostał.

Ale Bettina nie spuszczała go z oka i nagle do Pawła się odezwała:

— Dziękuję panu... Jestem nieco znużona... Zatrzymajmy się trochę...

Paweł podał jej ramię, chcąc odprowadzić na miejsce.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała.

W tej chwili drzwi od przedpokoju się zamknęły. Jana już nie było. Bettina przebiegła przez cały salon. Paweł sam pozostał, bardzo zdziwiony, nie mogący zrozumieć co się stało.

Jan był już na ganku, kiedy za sobą usłyszał wołanie:

— Panie Janie! panie Janie!

Zatrzymał się, odwrócił. Ona już była przy nim.

— Pan odchodzisz... nawet nie pożegnawszy się ze mną?

— Niech mi pani wybaczy, czuję się bardzo zmęczonym.

— I chcesz wracać piechotą? Niebo takie zachmurzone.

I wyciągnęła rękę na zewnątrz ganku.

— Patrz, już i deszcz pada.

— Och! zaledwie kilka kropel.

— Choć wypić filiżankę herbaty w małym saloniku, będziemy sami, a potem każę pana odwieźć powozem.

I zwracając się do jednego ze służących:

— Proszę powiedzieć, ażeby zaraz zaprzężono do małej karetki.

— Dziękuję pani, nie trzeba. Świeże powietrze mnie orzeźwi... muszę się przejść... Pozwól mi pani już odejść.

— Ha! idź pan... ale nie masz płaszcza... dam szal aby się okrył.

— Nie przeziębię się... tym czasem kiedy pani... w tej leciutkiej sukni... Odchodzę, aby pani co prędzej wróciła.

Nie podawszy jej nawet ręki, wyszedł i szybko zbiegł po schodach ganku.

— Jeżeli dotknę jej ręki — mówił do siebie— jestem zgubiony, moja tajemnica sama się wyrwie!

Jego tajemnica! Nie wiedział, że Bettina czytała w jego sercu jak w księdze otwartej.

Kiedy Jan zbiegł ze schodów, zatrzymał się na dole i chwilę zawahał. Te słowa z ust mu się wyrywały.

— Ja kocham ciebie! ja cię ubóstwiam. I to dlatego nie mogę widziéć cię już więcej!

Ale tych słów, nie wymówił, odszedł, znikł w cieniach nocy. Bettina pozostała sama, w ganku, w jasnych ramach drzwi oświetlonych ze środka. Grube krople deszczu przez wiatr pędzone, spadają na jej obnażone ramiona i dreszcz wzbudzają, ona nie zważa na to, tylko słyszy głośne bicie swego serca.

— Dobrze wiedziałam, że on mnie kocha — szepcze sobie — ale teraz, jestem pewną, że i ja także... ach! tak... i ja także!...

Nagle, w jednym z wielkich zwierciadeł przedpokoju, spostrzegła odbicie dwóch służących w liberyi, stojących za nią w milczeniu, przy wielkim dębowym stole. To ją do przytomności przyprowadziło. Zrobiła kilka kroków w kierunku salonu... Słyszy wybuchy śmiechu i walc dalej się cią-

gnący... Zatrzymuje się. Chciała by być samą, zupełnie samą. Rzekła więc do jednego ze służących:

— Pójdź, powiedz pani, że jestem zmęczoną, żem poszła do siebie i już do salonu nie wrócę.

Anna, jej służąca, drzemała w fotelu. Odsyła ją, aby się położyła... Sama się rozbierze... Tymczasem rzuca się na kanapkę i zapada w rodzaj rozkosznego obezwładnienia.

Po chwili drzwi się otwierają. To pani Scott.

— Czyś ty chora, Bettino?

— Ach! Suzie, to ty, moja Suzie! Jakżeś dobrze zrobiła, żeś przyszła!... Siadaj, tu, przy mnie, blizko...

I jak małe dziecko tuli się do siostry, rozpaloną swą główkę składając na świeżych ramionach Suzie, potem wybucha płaczem, płaczem spazmatycznym, który ją dusi, dławi.

— Bettino, moja najdroższe, co z tobą się dzieje?

— Nic, nic, to nerwowe... to z radości.....

— Z radości?

— Tak... tak... czekaj... daj mi się wypłakać trochę. Tak mi to dobrze zrobiło'... Tylko się nie lękaj... nie lękaj się...

Pod pocałunkami siostry, Bettina się uspokaja, przychodzi do siebie.

— Już, już skończone... wszystko ci powiem... Mam z tobą mówić o Janie.

— O Janie?... nazywasz go po prostu Janem?

— A tak, nazywam go Janem... Czyś nie spostrzegła, że od pewnego czasu, jaki on był smutny i wyglądał jakby był bardzo nieszczęśliwy?

— Tak, rzeczywiście.

— Przychodził... i szedł zaraz usiąść gdzieś obok ciebie i zostawał tak, zamyślony, milczący, do tego stopnia, że przez kilka dni zdawało mi się przepraszam cię, że tak mówię z całą otwartością ale to mój zwyczaj, wiesz dobrze. Mówiłam sobie, że chyba on w tobie kochać się musi, moja Suzie. Ty jesteś taka miła, taka ładna, że to byłoby zupełnie naturalnem. Ale nie, to nie w tobie, on we mnie się kocha!

— W tobie?

— Tak, we mnie! Słuchaj uważnie... Zaledwo śmiał patrzeć na mnie. Stronił, uciekał ode mnie... Bał się mnie, bał się wyraźnie. Powiedzże sama, tak, po sprawiedliwości, czyż ja straszna jestem?... Nie, wszak prawda?

— Zapewne, że nie.

— Ach! bo to nie mnie samej, on się tak lękał, ale moich pieniędzy, moich szkaradnych pieniędzy! Te pieniądze, które ich wszystkich przyciągają, tamtych i tak silnie na nich działają, jego przestraszają tylko, do rozpaczy doprowadzają... bo on nie jest jak oni wszyscy, bo...

— Moja droga, miej się na baczności, może ty się mylisz...

— O! nie, nie, nie mylę się!... Przed chwilą, w ganku, odchodził, powiedział mi tylko słów kilka. Te słowa nic nie znaczyły... ale gdybyś była widziała jego pomieszanie, jego wzruszenie, pomimo usiłowań ażeby się nie zdradzić!... Ach! Suzie, moja Suzie! przysięgam ci na przywiązanie jakie mam dla ciebie, a Bóg widzi jakie jest to przywiązanie! że mojem przekonaniem, przekonaniem najmocniejszem jest, iż gdybym zamiast być miss Percival, była jaką biedną małą dziewczynką, bez grosza posagu, wtedy Jan byłby mnie wziął za rękę i byłby powiedział, że mnie kocha, a gdyby tak przemówił, czy wiesz co ja byłabym mu odpowiedziała?

— Że go kochasz także.

— Tak jest, i oto dlaczego jestem tak szczęśliwą. To moje marzenie, to myśl, która weszła mi w głowę i z niej nie wyjdzie: kochać, ubóstwiać człowieka, który będzie mym mężem... A więc, nie mówię żebym już ubóstwiała Jana, nie, jeszcze nie... ale to się już zaczyna, moja Suzie i zaczyna się tak miło!...

— Bettino, a mnie niepokoi ta twoja egzaltacya. Wierzę temu, że Jan Reynaud ma dla ciebie wiele przywiązania...

— O! więcej niż przywiązanie, daleko więcej.

— Jeśli już chcesz, to powiem, wiele miłości... Tak, masz słuszność i dobrześ widziała... Kocha ciebie.. A czyż ty, moja droga, nie warta jesteś największej miłości jaką mieć będą dla ciebie? Co zaś do Jana, widać, że to zaraźliwe, bo słyszysz i ja go już nazywam Janem, a więc, chcesz wiedzieć co myślę o nim. Wszakże często od dwóch miesięcy, obie mieliśmy sposobność mówienia o tem... Ja go cenię i bardzo, bardzo wysoko stawiam... Ale jednak, pomimo tego, czyż to jest mąż odpowiednim dla ciebie?

— Tak jest, jeśli go kocham.

— Staram się mówić do twego rozsądku, a ty mi inaczej odpowiadasz... Ja, moja Bettino, mam doświadczenie którego ty mieć nie możesz. Chciej dobrze mnie zrozumieć... Od chwili przybycia naszego do Paryża, weszłyśmy odrazu w świat bardzo świetny, bardzo ożywiony, bardzo arystokratyczny... Już dotychczas mogłabyś była zostać, gdybyś była chciała, margrabiną lub księżną.

— Zapewne, alem nie chciała.

— Czy będzie ci zupełnie obojętnem nazywać się po prostu panią Reynand?

— Najzupełniej, jeśli go kocham...

— Ach! znów do swego wracasz.

— Bo tylko w tem cała kwestya. I nie ma innej... ale ja też z kolei chcę być rozsądną. Ta kwestya, zgadzam się z tobą, nie jest jeszcze zupełnie rozwiązaną i to nawet, żem może sobie za prędko zawróciła głowę. Widzisz więc jak bardzo jestem rozsądną. Jan wyjeżdża jutro. Przez całych dni dwadzieścia widzieć go nie będę. Przez te dni dwadzieścia będę miała dość czasu, aby się zastanowić, wybadać samą siebie, rozważyć i wypróbować, aby dobrze wiedzieć co się w mem sercu dzieje. Pod moją powierzchownością trzpiotowatą, jestem poważną i umiem się zastanawiać. Czy przyznajesz mi to, Suzie?

— Przyznaję.

— A więc, zanoszę do ciebie prośbę, jakbym ją zanosiła do naszej matki, gdyby była z nami. Jeżeli za dwadzieścia dni powiem ci: „Suzie, jestem pewną, że go kocham!” pozwolisz, że mi odwołać się do niego, samej jednej i zapytać, czy chce mnie wziąć za żonę? Wszakże tak samo postąpiłaś z Ryszardem... Powiedz, Suzie, pozwolisz mi na to?

— Przyrzekam ci, pozwolę.

Bettina serdecznie uściskała siostrę i te dwa słowa szepnęła jej do ucha:

— Dziękuję mamo!

— Mamo! mamo! czy pamiętasz? Tak mnie wołałaś kiedyś była dzieckiem, kiedy byłyśmy same na świecie, nas dwie tylko, kiedy w New-Yorku, wieczorem rozbierałam cię, w naszej biednej izdebce, kiedy cię kładłam do łóżeczka i śpiewałam piosenki, abyś prędzej usnęła. I od tego czasu, Bettino, głównem, najszczerszem życzeniem mojem było, twoje szczęście. Dlatego to cię proszę, ażebyś dobrze się zastanowiła. Nic mi nie odpowiadaj... nie mówmy już o tem. Ja chcę zostawić cię zupełnie uspokojną, swobodną. Odesłałaś Annę?... Czy chcesz abym dzisiejszego wieczora była jeszcze twoją mamą, abym cię rozebrała i położyła do łóżka jak wtedy?

— Dobrze mamo.

— A jak się położysz, to przyrzeknij mi być rozsądną.

— Postaram się być rozsądną.

— I zrobisz wszystko co będziesz mogła, aby zasnąć?

— Zrobię wszystko co będę mogła.

— Spokojnie, o niczem nie myśląc?

— O niczem nie myśląc.

— No, chwała Bogu.

W dziesięć minut potem, śliczna główka Bettiny lekko spoczywała wśród haftów i koronek. Suzie mówiła jeszcze.

— Ja muszę wrócić na dół do gości, którzy dziś bardzo mnie nudzą. Nim pójdę spać, jeszcze wstąpię do ciebie, zobaczyć czy zasnęłaś. Nie mów nic... i śpij.

Wyszła, Bettina została sama. Chciała być uczciwą. Aby zasnąć, najszczersze czyniła wysilenia. Zaledwie przez pół jej się udały. Zapadła w półsenność, w odrętwienie, które ją trzymało kołyszącą się między marzeniem a rzeczywistością. Przyrzekła nie myśléć o niczem, lecz myśli o nim usunąć nie mogła; jakby był przed nią, zawsze on, tylko on, ale jakoś mglisto, niewyraźnie. Ile w tym stanie upłynęło czasu, oznaczyć by nie mogła. Nagle, zdało się jej, iż słyszy, że ktoś chodzi po pokoju, otworzyła oczy i sądziła, że poznaje siostrę. Głosem sennym, zaledwo dosłyszanym, rzekła:

— Czy wiesz? ja go kocham:

— Cicho... śpij, śpij!

— Ja śpię... już śpię...

(D. c. n.)

POGADANKA.

Po napisaniu ostatniej pogadanki żal mi się zrobiło. Czułem sam, że w niej za wiele smutku, że fakta nagromadzone zasępiają mimowoli czoło. Wszystko to prawda, ale nie moja w tem wina, tylko życia, co tak smutne każe przechodzić koleje...

Dziś za to wypisuję na czele słowa kochanego naszego poety:

„A choć to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie.”

Piszę wprawdzie czasem trochę smutno, lecz nie żalę się na ludzi. U nas osobliwie więcej winny stosunki, wypadki niźli ludzie. Jabym rad, upleść wam wieniec z róż, sypać na drogę życia wonne kwiecie i na najweselszą nutę śpiewać:

„Wesoło żeglujmy, wesoło,
Po życia burzliwym potoku...”

W jednej z poprzednich pogadanek wyraziłem się: ostrożnie z ogniem! odnosząc te słowa do smutnych wypadków pożarów. Jeszcze nie przebrzmiało echo tych słów, kiedy nowa katastrofa

stwierdziła potrzebę baczności. Niestety to pro memoria zbyt wiele ofiar kosztowało.

W cyrku w Berdyczowie, około *trzystu* osób utraciło życie.

Cyfra zimna, sucha, zda się nic nie mówić, a jednak każdy, kto choć odrobinę czucia posiada zrozumie jej wymowność milczącą. Gdyby tej cyfrze można na chwilę nadać życie, usłyszelibyśmy jeden okropny wykrzyk, a jak echo odezwałyby się jęki i płacze tysięcy pozostałych na ziemi rodzin. Ci co zginęli nie cierpią już w tej chwili, lecz dla pozostałych krewnych czy przyjaciół cios ten pozostanie długo pamiętnym.

Spokój zmarłym, pozostałym łza współczucia.

Ktoś napisał, że rok nowy pod złą wróżbą się zaczął, bo w dzień feralny — poniedziałek. Niech mu ludzie tego nie pamiętają, że przypomniał o zabobonie, którego się wyrzekamy.

Niedziela, to święto, poniedziałek dzień niefortunny, piątek dobry początek, lecz zły koniec, sobota zła robota—kiedyż więc właściwie zaczynać, a kiedy pracować?

Przypomina nam to prawdziwą historyę znajomej nam osoby. Zmieniała mieszkanie, a że pierwszy wypadł w poniedziałek, idzie więc do gospodarza nowego mieszkania i prosi, aby jej pozwolił bodaj część sprzętów przywieść w sobotę. Było to we czwartek. Gospodarz zgodził się, lecz zrobił uwagę, że sobota, to także zły dzień. W piątek owa pani nie chciała rozpoczynać w żaden sposób. Pomyślała chwilę i... upuszcza nieznacznie spilkę od włosów, uważając to za pierwszy sprzęt wniesiony do nowego mieszkania.

Bodaj to mieć dobre pomysły!

Lecz fortelu takiego nie można zastosować do roku nowego. Zaczął się w poniedziałek i nikt już na to nie poradzi. My zresztą nie będziemy się na to wcale silili, bo oto rok bieżący przypomina nam wielką, świetną dobę dziejową. To rok odsieczy wiedeńskiej, która na głowę króla-bohatera włożyła wawrzyny.

Deotyma, autorka „Polski w Pieśni" pracuje nad poematem jubileuszowym p. t. „Sobieski pod Wiedniem". Dwie pierwsze pieśni już gotowe odczytała je poetka licznie zebranym w jej salonie gościom, którzy odnieśli najświetniejsze wrażenie. Będzie to nowa perła twórczości poetki, która nie zapomina ani na chwilę o tem, co kiedyś sama powiedziała:

„Być pieszczotą w rodzin gronie,
Rajskiej strzechy kochać próg,
Mieć żar w sercu, piosnkę w łonie,
To mi tylko kazał Bóg."

Kiedy o Sobieskim mowa, przypominają się nam rzeczy bardzo nawet wesołe. Polacy bawiący w Rzymie chcą Włochom przypomnieć polskie zapusty. Raz zapusty takie wyprawił kiedyś książę Konstanty Sobieski i podobały się niezmiernie. Obecnie zaś będzie na Corso urządzone całe krakowskie wesele, w najpyszniejszych strojach sprowadzonych z Krakowa.

Niech wiedzą Włosi, że prawdziwe polskie zapusty malowniczością nie ustępują w niczem słynnym włoskim. Porównywał je prześlicznie Malczewski w swej „Maryi", lecz Włosi o tem chyba nie wiedzą.

W kraju odbyło się parę kuligów w których szczeropolskiej ochoty nie brakło — ale brakło śniegu. Pokazało się, że bez śniegu można się obejść, gdy się ma humor wesoły, fantazyę, a nadewszystko, gdy się ludzie dobiorą, fałsz i obłuda nie nakładają maski, a dłoń z dłonią spaja się serdecznie, bratersko.

Bawmy się, boć to pora po temu, a wesołość nie jest grzechem. Rozrywka odświeża umysł, daje mu wypoczynek, a wzmacnia siły do nowej pracy.

Że zabawy nie przeszkadzają jej dowodów mamy znowu kilka.

I tak ziemianie w Lubartowskim pomyśleli zawczasu o zbliżającym się poście i zakładają obiegową czytelnię. Do tej pory zgodziło się na projekt pięćdziesiąt osób, każda z nich daje co miesiąc dwa ruble, to znaczy, iż stowarzyszeni będą mieli do dyspozycyi sto rubli miesięcznie. Będą więc mogli obficie zaopatrzyć się we wszystkie nowości, a na każdego wypadnie dziennie przeciętnie dwa tomy. Suma ta pokaźniejszą się jeszcze wyda, gdy obliczymy, że przez rok cały zbierze się książek za 1,200 rubli.

Szkoda, że wystawa kwiatów, która miała się odbyć w maju nie przyjdzie do skutku, aż chyba na schyłku lata. Czyż może być co piękniejszego nad piękną kolekcyę kwiatów od skromnego fiołka począwszy a skończywszy na rozkosznych różach, tym pocałunku natury...

Poskąpili nam ogrodnicy kwiatów na okaz, lecz za to szczodrzejszem okazało się muzeum pszczelnicze, które zorganizowało się ostatecznie i dziś możemy już oglądać jego kompletne zbiory. Posiada ono doskonale urządzone obserwatoryum pszczelnicze, będące podstawą badań i doświadczeń, bibliotekę dzieł fachowych i czasopism, kolekcyą okazów wosku i miodu, rysunki anatomiczne i botaniczne, zbiór ptaków i owadów, wyrządzających pszczelnictwu szkody, modele ulów i przyborów potrzebnych do gospodarstwa pszczelniczego, pasiekę demonstracyjną z różnemi rasami pszczół, plantacyę roślin miododajnych i wreszcie fabrykę ulów. Kilka wzorowych pasiek w okolicy Warszawy będzie podstawą praktycznej działalności muzeum. Podobno ma także na prowincyi powstać filia muzeum.

Na korzyść rozmaitych instytucyi dobroczynnych przybyło *190,000 rubli*. Szczodrą ich dawczynią, była znakomita filantropka ś. p. *Tekla z Kozłowskich Rapacka*, która przeżywszy lat ośmdziesiąt pięć, zostawiła po sobie wieczną pamięć w szeregach cierpiącej ludzkości. Całe jej życie było jednym ciągiem szlachetnej dobroczynności.

Budowa kościołów, zaopatrzenie sierot, starców, kalek, poprawa moralnie zaniedbanych, nauka dla ubogich, wsparcie kas zapomogowych, biednych szwaczek, nędzy wyjątkowej, tanich kuchni i stypendya dla kształcącej się młodzieży — oto przedmioty zapisu ś. p. Rapackiej.

Wespół z żałobą serc tysiąca, tysiące dziękczynności pozostawiła zmarła po sobie.

Karnawał tegoroczny świetny jest, co się zwie. Bal po balu następuje a wszystkie udają się doskonale. W krakowie odbył się bal na korzyść pomnika Mickiewicza, dochód wyniósł około półtora tysiąca złotych reńskich.

W Warszawie do najświetniejszych należy bal na rzecz szpitalika dziecięcego. Powiódł się i tym razem. Jedno wszakże *ale* mamy do zanotowania. Kto wpadł na koncept drukowania biletów po francuzku?...

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Kalendarz Powszechny na rok 1883, nakładem Teodora Paprockiego.

Rok już piąty jak w pośród mnogiej ilości różnorodnych kalendarzy, wybitniejsze stanowisko zajął, kalendarz wychodzący staraniem, nakładem i pod redakcyą p. Teodora Paprockiego. Kalendarz na rok 1883 tak jak i z lat poprzednich odznacza się doborem artykułów i uczciwą tendencyą.

W pomienionym kalendarzu, oprócz dwóch krótkich życiorysów: Gustawa Zielińskiego i Pauliny Kraków, oprócz czterech udatnych wierszyków, humoreski „Zemsta doktora" przez autora kłopotów starego komendanta, opisu jubileuszu 500 letniego obrazu Bogarodzicy w Częstochowie i cennego artykułu treści społecznej p. Martynowskiego „Ratujmy się póki czas", znajdujemy bardzo cenne i źródłowo opracowane studyum „Jan Kochanowski". Praca ta aczkolwiek pomieszczona bez podpisu, z przyczyny wielkiej i bezpotrzebnej skromności, zdradza autora, który śmiało poszczycić się nią może. Rozmiarami swemi nie wielkie studyum, w czytelniku budzi niewysłowione zajęcie, a to tembardziej, że jest napisana na podstawie głębokiej znajomości rzeczy traktowanej i nie będąc przeładowane suchemi wywodami i cytatami czyta się gładko. Życiorys Kochanowskiego przeplatany rozbiorem dzieł, oraz tu i owdzie rzucanemi poglądami na wszystkie sprawy dotyczące księcia poetów, odkrywa nam niejedną rzecz niejeden fakt zupełnie przez ogół nieznany. Takich prac sumiennych i tak źródłowo napisanych daj nam Boże więcej a tak autorowi za pracę pomienioną, jako też i wydawcy należy się szczera podzięka od czytającej publiczności, wyrażając zarazem życzenie, aby p. Paprocki studyum „Jan Kochanowski" pomieszczone w kalendarzu chciał wypuścić w oddzielnej odbitce ozdobiwszy takową portretem poety, a to dlatego, aby i lud nasz, szersza publiczność poznajomić się mogła nietylko z „poetą" lecz i tak piękną pracą jaką nas zbyt skromny autor obdarzył.

Pamiętnik Fizyograficzny. Tom II, za rok 1882.

Prawdziwie pomnikowe dzieło, jakie nam śmiało tak pod względem treści, jak i zewnętrznej sukienki, inne narody pozazdrościć mogą leżąc przed nami budzi w nas cześć dla ludzi dobrej woli którzy nie zrażeni stratami poniesionemi przy wydawnictwie tomu I-go na rok 1881, przystąpili i w roku bieżącym do tak cennego i pożytecznego wydawnictwa, stanowiącego niejako „Roczniki" prywatnego kółka ludzi poświęcających się pracy i nie szczędzących kosztów na ogłoszenie tych prac podjętych w interesie i ku dobru ogólnemu.

Niezaprzeczamy, że w „Pamiętniku fizyograficznym" nie ma targających nerwy powieści Jokaja, Ebersa, ani też gawęd Bykowskiego, nie ma tam poetyckich utworów Korwina lub Konopnickiej, ani też barwnych opowiadań historycznych D-ra Antoniego J. i t. d., lecz są rzeczy ściśle naukowe, ściśle dotyczące nas i naszego kraju! Tom II Pamiętnika składa się z IV działów a mianowicie: dział I obejmuje: Meteorologię i hydrografię, dział II Geologię z chemią, dział III Botanikę i zoologię i dział IV Antropologię, nadto ozdobiony jest 32 tablicami litografowanemi i wieloma drzeworytami w tekście. Na sutość tego pomnikowego dzieła zaś składali się pp. Kowalczyk, Ap. Pieł-

kiewicz, Dr. Jędrzejewicz, Roztworowski, Dziewulski, Siemiradzki, Kosiński, Pusch, Pawlewski, Kontkiewicz, Znatowicz, Dr. Chałubiński, Łapczyński, Małecki, Kowalewski, Sznabel, Osterloff, Łuniewski, Gloger Dudrewicz i Karłowicz. Wyliczać i rozbierać prace pomieszczone w „Pamiętniku” uważamy za rzecz zbyteczną, wobec tak poważnych prac, krytyka milczeć musi, dla tego też poprzestając na tych kilku słowach kończemy tę naszę wzmiankę, gorącym życzeniem, aby „Pamiętnik fizyograficzny” w większej ilości rąk się znalazł jak to dotąd ma miejsce.

Wł. Kor. Zieliński.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

15 Stycznia 1883 r.

Przyspieszamy z umysłu miesięczne sprawozdanie, aby czytelniczki nasze, mogły korzystać przed końcem krótkiego karnawału, z niektórych maleńkich skazówek. Zacznijmy oto od rozet, z wązkiej na cal wstążeczki atłasowej lub aksamitki, któremi paryżanki zdobią powszechnie tarlatanowe albo tulowe suknie. Te rozety ułożone regularnie jak listki georginy, mieszczą dziś wszędzie na przodzie stanika, na rękawkach, na podpięciu draperyi, słowem gdziekolwiek znajdzie się miejsce na nie. Jedne układają ze zwyczajnych pukielków, małych w środku, powiększonych u brzegu, inne znów robią z pojedyńczych końców aksamitki, wciętych w głęboki ząb jak chorągiewka. Do ubrania czarnej gazowej sukni widzieliśmy rozety z plecionki złotej, co bardzo ładnie wyglądało, przy koronce przewłóczonej złotem.

Uważaliśmy także ładną suknię blado różową, miedzianego odcieniu, podpinaną rozetami z czarnej aksamitki wystrzyganej w końcach, w środku każdej rozety błyszczała perła dżetowa.

W zeszłym tygodniu odbył się bal na ubogich w salach wielkiego hotelu, przyglądaliśmy się z galeryi świetnem strojom paryżanek, dajemy tu szczegółowy ich opis.

Suknia z blado różowej materyi *faille.* U dołu takiż wolant plisowany, po kilka fałdów idzie tuż koło siebie, za tem ćwierć łokciowy odstęp i znów fałdy. Powyżej naszyte dwa wolanty z koronki szarej niciane, nad niemi draperya koronkowa tworzy z przodu fartuszek, w tyle puff bardzo rozniesisty, podpinany puklami z różowej wstążki. Stanik z materyi różowej, z długim bawetem, tak z przodu jak i poniżej pleców. W górze stanika na wykroju, berta koronkowa znacznie przedłużona na piersiach, przepięta bukietem z róż bez liści. Ubranie głowy: kitka z różowych marabutów, pończoszki do tego różowe, takież atłasowe trzewiczki, przybrane rozetę koronkową.

Druga suknia biała atłasowa, spódniczka zakończona u dołu wodą. Przedni bryt tworzy fartuszek, naszyty dwoma płaskiemi wolantami z tulu, każdy wolant zahaftowany białemi perłami, kończy się frendzlą z takichże pereł. Od boków do tyłu przechodzi atłasowa draperya *panier*, objęta szeroką alansońską koronką. Na tył spada długi bryt atłasowy, tworzący wielki puff i powłokę, pokryty u dołu koronkowym wolantem. Stanik długi atłasowy, z bawetem sznurowany na plecach. Na wycięciu nie zbyt szeroka berta koronkowa, na ramionach kokardy atłasowe w kształcie motyli. Perły na szyi i na głowie dopełniają ubrania.

Trzecia suknia złożona z aksamitu ciemno *caroubier* i z ciężkiej gładkiej materyi w kolorze perłowo popielatym. Spódniczka aksamitna do ziemi, u dołu trzy atłasowe plisowane falbaneczki. Na to druga spódniczka z materyi perłowej, zakończona plisą aksamitną koloru *caroubier.* Z przodu podpięty feston w rodzaju fartuszka, w tyle puff rozniesisty. Stanik z długim bawetem, popielaty, sznurowany w tyle, rozcięty z przodu, z pod rozcięcia wygląda plastron aksamitny *caroubier.* W miejscu gdzie stanik się łączy ze spódnicą, idzie w koło aksamitna plisowana falbana. Z pod wykroju wybiega w górę wązka koronka, takaż koronka zastępuje miejsce rękawków. Na głowie róża *caroubier*, wpięta za uchem między włosy.

Czwarta suknia z *satin mervilleux* w błękitnym bardzo bladym odcieniu. U dołu woda czarna aksamitna, nad nią dwie falbanki koronkowe, powyżej znowu aksamitna woda. Ten garnirunek powtarza się przez cały przód spódnicy, aż do stanu. Od boków na tył spada rzęsista draperya z blado błękitnej materyi, przytwierdzona do boków rozetami z czarnej aksamitki. Stanik gładki błękitny z długim bawetem rozcięty z przodu dosyć szeroko na rozcięciu plastron czarny aksamitny. Rękawki błękitne buffowane. Wązka walensienka wybiega z pod stanika. Na głowę pęczek jasno błękitnych marabutów i rozeta czarna aksamitna wpięta pomiędzy jasne włosy.

Ubranie starszej cokolwiek osoby. Suknia czarna *gros grin* w bukiety czarne aksamitne, rozniesista w tyle i po bokach. Przedni bryt w malinowym kolorze z gładkiego atłasu. Na nim naszyta trzy razy ażurowa pasmanterya ze szneli czarnej, zakończona frendzlą, zupełnie pokrywa atłas. Stanik z bawetem, zachodzący na szyję, z przodu otwarty, na plastronie malinowym, pokrytym szneIową pasmanteryą.

Panienki miały po większej części suknie białe, z tarlatanu lub tulu, nagarnirowane ruszą, podpinane w sztuczne festony, rozetami ze wstążki różowej, pąsowej lub białej. U wielu z nich uważaliśmy stanik z gładkiej materyi w kolorze odpowiednim do rozet.

Staniki otwarte z odmiennym plastronem, powszechnie dziś używane, tak do większego jak do codziennego ubrania. Bardzo też noszą na wierzch stanika, plastrony z marszczonego tulu, przepinane w odstępach czarną lub kolorową aksamitką. Kołnierzyk do tego z koronki, odwiniętej gładko na aksamitkę. U szyi wpięta brosza, lub odpowiednia kokardka. Widzieliśmy bardzo ładny plastron z gazy indyjskiej, naszyty cały wisiorkami z białych pereł. Plastron ten przechodził poniżej stanu, w pasie przepięty był węzłem z aksamitki ciemno pąsowej, po bokach ujęty jakby w ramki, w takąż aksamitkę. Koronka naszyta perłami, podwleczona aksamitką, tworzyła kołnierzyk w koło szyi.

Do wyjścia na teatr lub na bal, panienki noszą krótkie kardynałki białe pluszowe, sięgające ledwie do stanu. Takie kardynałki z pluszu czarnego albo koloru wydry, używane także na ulicę, ale na to potrzeba klimatu paryskiego. U nas pelerynka taka, podbita kolorowym atłasem, może stanowić miłe do pokoju odkrycie.

Włosy układają w ogólności, w węzły spadające nizko na tył głowy, jednak i warkocz przeciągnięty nad czołem zaczyna się znów coraz częściej pojawiać. Węzły i warkocze z włosów, przepinają wielkiemi szpilkami szyldkretowemi w formie półksiężyców, kulek, gwiazd i t. d.

Kostiumy do codziennego użycia, najmodniejsze z cienkiego sukienka w kolorze wydrowym, popielato rozmarynowym i ciemno szafirowym *bleu telegraph*, stanik zwykle rozcięty z przodu, na aksamitnym plastronie, takież wyłożenie u rękawów.

Wogólności aksamit bardzo modny. Na codzienne kostumy przyjęty angielski bawełniany, bądź gładki, bądź też wyciskany w deseń z kwiatów, albo w groszek.

Rozety z wstążki lub aksamitki, tak przyjęte do sukien, ukazują się również na kapeluszach. W pięknym magazynie *Brie et Jeoffrin*, widzieliśmy śliczną kapotkę czarną atłasową, przybraną z boku dwoma rozetami, jedna była z aksamitki czarnej ze środkiem złotym, druga ze złotej plecionki szerokiej na palec. Namarszczone rodko miało brzegiem wypuszczoną falbankę z podwójnego atłasu, pod to szła koroneczka ze złotem, szarfy aksamitne służyły do wiązania. Inna kapotka brązowa atłasowa przybrana była bukietem z aksamitnych asterków w tymże samym kolorze ze złotemi środkami.

Z powodu lekkiej zimy, miejsce futrzanych okrywek, zastępują powszechnie, długie obcisłe surducíki, bez najmniejszej ozdoby, spięte na guziki poniżej stanu. Robią je z pluszu w kolorze wydrowym lub czarnym, lekko podwatowane, z brokateli jedwabnej czarnej, albo z ciepłej wełnianej tkaniny. W niektórych widać pętlice ze sznuru, lekko spuszczone na piersi trzema lub czterema rzędami.

Na wiosnę zapowiadają nowy rodzaj okrywki zwany *dulietką mołdawską.* Jest to płaszczyk długi, lekko puszczony, z kaszmiru indyjskiego w czarnym lub brązowym kolorze, podbity marseliną, przody spinają się wzdłuż, albo pęczkami długich pukli ze wstążki, albo też rozetami z błądyny czarnej z dżetem.

Kolor popielaty, od niejakiego czasu zaniedbany, wchodzi znów bardzo w modę. Nosić go będą na wiosnę w rozmaitych odcieniach: stalowym, *ardoise*, myszkowatym, srebrnym, perłowym i tam dalej.

Wspomnijmy jeszcze nowe krawatki: są to poprostu obróże z aksamitu czarnego lub *caroubier*, spięte z boku na klamerkę stalową. Na piersi spada od nich nahaftowany wolancik koronkowy.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Nader pocieszający fakt podaje „Biesiadą Literacka” w N-rze 366.

„Po nad wszystkie ofiary bez względu na ich wysokość, musimy postawić składkę na pomnik Mickiewicza, zebraną... na chłopskiem weselu! Czy to prawda?... czy to komedya?... Nie — mam pieniądze, mam list — ze wsi Załążewo, w powiecie płockim. Pospieszyłbym, aby uścisnąć rękę gospodarza w którego chacie ten piękny a pierwszy pono w dziejach ludowego życia prolog się odegrał. W chacie wieśniaczej, gdzie o ściany i pułap zwykle odbijają się echem, zapalczywość, niezgoda, pomstowanie, łakomstwo na wszystko co dwór posiada — podczas wesela na którem dawniej czło-

wiek w zwierza się zamieniał, starszy gromady proponuje składkę na pomnik Mickiewicza — i gospodar~e i gospodynie, dziewuchy i kawalerowie dają po kilka groszy. Ofiarę tę brylantową przesłał nam czcigodny kapłan. ksiądz proboszcz — w tem dziele widzimy jego rękę, niemniej jednak musimy uścisnąć ręce ludzi którzy siłą miłości uwierzyli, że Mickiewicz należy do opiekuńczych duchów naszych. Wieszcz polski stanął nareszcie po nad wójtem nawet, który dotychczas był w oczach gromady jedynym człowiekiem godnym pomnika.

„Nie dziwię się, a tylko donoszę o ofierze uczynionej przez kolegów ś. p. inżyniera Surzyckiego; towarzysze biurowej jego pracy, urzędnicy zarządu komunikacyi lądowych i wodnych w Warszawie, nadesłali 95 rs. na kościołek w Dizlagarze. Wierzą oni, znając cześć ś. p. Juljana dla naszej wiary, że duch jego krąży po nad opuszczoną, zrabowaną świątynią i skarży się, że krzyża strąconego nikt dotychczas nie podźwignął. Ten krzyż niejednemu z rodaków naszych zastępuje kraj cały... koledzy ś. p. Juljana ramię ratunku na stepie kaukazkim podnoszą..."

Cóż dodać do tych słów tak rzewnych i serdecznych nieocenionego Sępa!

*** W roku 1870 zaczęto w Trembowli zbierać składki na pomnik dla bohaterki Chrzanowskiej, która obroniła zamek trembowelski od najazdu tureckiego w roku 1675, z zamiarem postawienia i odsłonięcia tego w roku 1875 jako w dwóchsetną rocznicę słynnej obrony. Lecz że fundusz uzbierany nie wystarczył, postanowiono odłożyć urzeczywistnienie tej myśli do czasu gdy się zbierze niezbędna summa. Uzbierana kwota 3,065 złr. 76 centów złożona została w kasie oszczędności, a skutkiem skapitalizowania odsetek urosła do 5,419 — ale nie wystarcza to jeszcze na wzniesienie pomnika. Chodzi więc o dopełnienie brakującej summy, a czasu nie wiele, gdyż nader byłoby pożądanem, aby inauguracya pomnika nastąpiła w dniu 200-letniej rocznicy odsieczy Wiednia, a to z powodu, iż właśnie Jan Sobieski dokonał odsieczy Trembowli.

*** Tak pożądane i niezbędne *Ustawy Towarzystw pomocy naukowej* dla niezamożnych uczni w mieście naszem, przesłano już do ministeryum spraw wewnętrznych, zkąd jak się należy spodziewać wkrótce powrócą zatwierdzone. W ustawach wspomnionych zamieszczony jest punkt bardzo ważny, mianowicie: że przy rozdawaniu wsparć szczególnie zwracać się ma uwagę na dobre sprawowanie się i pilność ucznia, niezależnie od jego większych czy mniejszych postępów w naukach.

Inną równie pocieszającą wiadomość zamieszcza gazeta „Medicinski Wiestnik" donosi albowiem, że ministeryum oświecenia rozpatruje obecnie kwestyę nadania pewnych ulg studentom uniwersytetów co do wnoszenia wpisów, a mianowicie żeby za niewniesienie wpisu studenci nie byli wydalani, jak to ma miejsce obecnie, ale aby odkładano im termin zapłacenia do czasu ukończenia przez nich uniwersytetu i objęcia posady służbowej. System ten był praktykowany w byłej Akademii medyko-chirurgicznej i wydawał jak najlepsze rezultaty.

*** Jeden z dzienników berlińskich podał bardzo dobrze obmyślony pomysł zbierania składek na dotkniętych powodzią, a mianowicie aby pewnego z góry oznaczonego wieczoru, wszystkie wygrane w karty na całej przestrzeni państwa niemieckiego, ofiarowane były przez wygrywających na wsparcie nieszczęśliwych ofiar strasznych powodzi. Myśl tę wprowadzono w wykonanie w wielu miastach Niemiec, i biedni dotknięci tą okropną klęską znaczne zyskali fundusze.

*** Mało komu wiadomo zkąd powstał wyraz „bankrut" tak rozpowszechniony we wszystkich europejskich językach. Niegdyś we Włoszech każdy wekslarz miał swoją ławkę na giełdzie w której prowadził interesa. Jeźli stał się niewypłacalnym łamano ławkę a jej właściciela przezywano *banca rotta* (złamana ławka).

*** Panna Helena Gladstone, córka pierwszego ministra Wielkiej Brytanii, została mianowaną wice-dyrektorką wyższego zakładu naukowego dla kobiet, w Cambridg, zwanego *Newnham College*.

*** Julian Horain pisze do „Słowa:"

W przeszłym miesiącu, w domu zdrowia w Issy, umarła Wirginia Desquiere, w 79 roku życia. Urodziła się w Delimont (Departament du Nord) i została ozdobioną krzyżem legii honorowej za zasługi wojskowe oddane ojczyznie. Dzieje jej życia są tak niezwykłe i zaszczyt jej przynoszące, iż nie możemy się powstrzymać od podania ich Czytelnikom naszym.

„Było to podczas wojny krymskiej. W jednych tak częstych i krwawych tam utarczek, kula ugodziła w pułkownika 27 pułku liniowege—padł nie dając znaku życia. Uważając go za zabitego, pozostawiono go na placu boju. Po skończonej bitwie, sierżant woltyżerów rzekł do swoich podkomendnych:

„Nie możemy tak zostawić naszego pułkownika, trzeba odszukać zwłok jego, a tym... pokazać że się nie boimy."

Dwóch szeregowców wystąpiło na ochotnika i wraz z sierżantem udali się na tak niebezpieczną wyprawę; lecz wkrótce obaj polegli od kól nieprzyjacielskich i sam tylko sierżant zdołał dostrzedz miejsce gdzie znajdywały się zwłoki pułkownika. Usiłował wziąć je na barki aby odnieść do swoich, ale sił mu do tego zabrakło. W tem w oddali dostrzega dwóch jadących konno kozaków; zaczyna tedy wołać na nich i dawać rozmaite znaki; sądząc że sierżant chce im się poddać, zwrócili się ku niemu; lecz jak tylko podjechali bliżej, dał do nich dwa strzały, i jeden padł nieżywy, drugi ciężko ranny, zsunął się z konia. Wtedy sierżant uchwycił jednego konia położył na nim w poprzek pułkownika i odwiózł do obozu. Dostrzeżono że jeszcze żyje; chirug opatrzył rany i półkownik został uratowany. Ale i waleczny sierżant został raniony w piersi — krew sączyła się przez mundur. Pomimo oporu zdjęto z niego mundur i z niewymownem ździwieniem poznano kobietę. Była to Wirginia Desquiere, która wstąpiła do szeregów w zastępstwie zapisanego przez konskrypcyę bardzo słabowitego brata swego i umiała ukrywać się pod męzkiem ubraniem. Została przeznaczoną do 27 pułku woltyżerów i za zasługi wojenne awansowała stopniowo na kaprala, kwatermistrza i sierżanta.

Gdy jenerał brygady dowiedział się o tym niezwykłym wypadku, odwiedził ją zaraz w ambulansie, pochwalił publicznie jej odwagę, męztwo i wzorowe postępowanie, oraz wyrobił zwolnienie ze służby wojskowej, krzyż legii honorowej i dożywotnią pensyę oficerską. Pogrzeb jej był bardzo liczny i uroczysty; spuszczeniu trumny do grobu salutowały strzały dawnych towarzyszy broni.

*** Dnia 4 listopada r. z. w stolicy niebieskiego państwa, zapanowało straszne przerażenie i oburzenie — straszne bo stały się rzeczy!... nie wiedzący o niczem mieszkańcy Pekinu, zobaczyli nagle kursujące po ulicach jego numerowane dorożki i amerykanki, tak zupełnie jakby w jakiemś europejskiem mieście. Nowe to przedsiebierstwo zaprowadził pewien pomysłowy Anglik, używając Tatarów za woźniców. Ten zamach cudzoziemca, dzikiego barbarzyńcy z Zachodu straszne wywołał oburzenie, spotęgowane jeszcze coraz liczniejszem zastępem przybyszów obcych do stolicy. Bonzowie podnieśli okrzyk zgrozy, przewidując groźne tego następstwa — zaprowadzenie grzesznych tramwajów i bezbożnych kolei żelaznych. I pewnie się nie mylą — zaprowadzą je niezawodnie w Chinach jak już urządzono telegrafy; naród to zmyślny i praktyczny, potrafi korzystać ze wszystkiego czego sprawdzi użyteczność.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wieczorowe z trenem. Przy sukni odrobionej z atłasu i aksamitu, stanik, krótka draperya i przód u dołu są ogarnirowane szeroką koronką. Tren atłasowy zakończony drobnem bufowaniem i falbanką.

Ubranie balowe. Stanik aksamitny z przodu ścięty prosto, z tyłu w szpiczasty bawet, sznurowany z tyłu, ma górny wykrój otoczony girlandą z maków. Spódnica z materyi jedwabnej zaplisowana w drobne fałdki, ma nad falbaną girlandę zamiast riuszy. Szalowa draperya suto bufująca się z tyłu, dana z gazy.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Января 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

Patrząc na nią Rajnold myślał sobie że kiedyś, niezadługo może, to miejsce naprzeciw niej z *prawa* do niego należéć będzie, i rozkoszne dotąd marzenie, na zawsze już zamieni się w rzeczywistość. Szczęście unosi się tak niekiedy nad czyimś losem; zdaje się dość byłoby jednego słówka aby go przyzwać i przykuć na zawsze, ale czy to gwałt sobie zadając, czy przez słabość, słówka tego się nie wypowie. Tak więc szczęście ukazało się i znikło. I życie które mogło być pogodne i uśmiechnięte, staje się smutne i niespokojne, i często nigdy, nigdy już światło podobne przyświecającemu w ów piękny poranek, nie zabłyśnie już w całym ciągu życia.

. . . .

Po wieczerzy, margrabina wstała z fotela i przeszła do swego pokoju wsparta na ramieniu Eliany. Wszedłszy zauważyła od razu że jakoś wdzięczniej on wygląda niż zwykle i zarazem poczuła miłą woń róż.

— To ty, Eliano, urządziłaś tu wszystko i bukiet ten postawiłaś na stoliku?

— Tak, ciociu, postawiłam go obok portretu Bianki, wszakże to najwłaściwiej?

— Masz wiele gustu a więcej jeszcze serca, Eliano, odrzekła ściskając ją margrabina. Niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecię!.. Idź teraz na spoczynek; kazałam przygotować dla ciebie pokój mojej Bianki... Julja cię zaprowadzi.

Eliana ucałowała rękę ciotki, mówiąc:

— Czy nic już, ciociu, nie masz mi do rozkazania.

— Do rozkazania?.. nic — ale muszę ci serdecznie podziękować. Nic nie uszło mego oka, Eliano. Cały dzień byłaś dla mnie anielsko dobrą, i tobie tylko zawdzięczam że teraz nie jestem bardzo smutna... A przycisnąwszy ją do serca, dodała: Ach! czemuż nie jesteś drugą moją córką, i czemu nie mogę na zawsze zatrzymać cię przy sobie!

Dosłyszał te słowa Raynold stojący za fotelem matki, i został równie żywo wzruszony jak rano — ale tym razem nie sam tylko. I serce Eliany żywiej bić zaczęło; a gdy podniosłszy głowę, oczy jej spotkały się ze spojrzeniem kuzyna, spuściła je prędko mocno zmieszana, czego przedtem nie doznawała w jego obecności.

VIII

Gdyby margrabina choć cokolwiek domyślała się wrażenia jakie wywarły jej słowa powiedziane rano i przed chwilą, nie byłaby pewnie zasnęła tak spokojna i zadowolniona, po za adamaszkowemi zielonemi kotarami. Może wydawać się dziwnem że myśl tak prosta nie przyszła jej do głowy; że kobieta tak przezorna i z takiem doświadczeniem, nie pomyślała o tem iż może stać się niebezpiecznem dla jej syna, to ciągłe przestawanie z dziewczęciem, której piękność, powab, rozum i charakter sama tak wysoko ceniła. Lecz pomimo całej znajomości świata, margrabina nie umiała zupełnie badać i zastanawiać się nad charakterami otaczających ją osób. Pod tym względem brakło jej doświadczenia. Uwielbiana przez męża szlachetnego i miłego ale dość słabego charakteru, mniej daleko zdolnego niż żona do kierowania interesami i zarządu domem, w młode jej ręce złożył berło władzy, które po owdowieniu trzymała jeszcze silniej. Nawykła rozkazywać, a rozkazywać rozumnie, przez co łatwem czyniła posłuszeństwo, nie zadawała sobie trudu badania charakteru zależnych od niej osób. Tak więc nie napotykając nigdy, lub z łatwością przełamując wszelki opór, nie pomyślała nawet go przypuszczać lub przewidywać. Dzieci okazywały jej najgłębszy szacunek i przywiązanie; wprawdzie zadziwiło ją gdy Raynold mając lat dwadzieścia cztery, oznajmił że postanowił odbyć podróż na wschód i do Włoch, jednakże zgodziła się na jego żądanie, jako nie sprzeciwiające się jej zamiarom. Gdy wyjechał, nie przestawała jak najgorliwiej zajmować się przyszłością jego i Bianki, obmyśloną zawczasu. Zanim jeszcze poznała pana de Monléon, postanowiła że Bianka pójdzie za niego, a w kilka miesięcy później, Raynold oświadczy się i otrzyma rękę pięknej Konstancyi de Longvilliers.

Najpierw tedy starała się zbadać delikatnie zamiary dziadka i babki młodej dziedziczki znakomitego rodu, a skwapliwość z jaką przyjęli jej zaproszenie do Erlon, zdawała się zapowiadać pomyślny obrót wyraźniejszych starań jakie postanowiła przedsięwziąść.

Dotąd tedy wszystko zdawało się iść po jej myśli, ale nie poprzestając na tem płodny umysł margrabiny wysnuł nowy projekt. Nie uszły jej oka grzeczności i zabiegi jakiemi cały poranek otaczał Elianę pan de Tréval, co dostatecznem było do wytworzenia całego szeregu nowych kombinacyj, wydających jej się już dokonanemi faktami, i dlatego to powiedziała z żalem do siostrzenicy, iż ubolewa że nie może na zawsze zatrzymać jej przy sobie. (Coby pomyślał biedny Raynold i Eliana, gdyby byli zrozumieli znaczenie jej słów!)

Byłaby to nader świetna partya. Nietylko bowiem pan de Tréval był bardzo bogaty i pochodził ze znakomitej rodziny, ale używał najlepszej pod każdym względem opinii, a nadto miał odziedziczyć po wuju swoim, księciu de Longvillier, tytuł księcia. Tak więc widząc że tak ważna osobistość sama zwraca się do niej, zapewniając drugie świetne zwycięztwo w arenie zabiegów matrymonialnych, margrabina sama dziwiła się prawie swemu szczęściu, i z góry przebaczała innym matkom zazdrość i niechęć jaką prawdopodobnie uczuwać do niej będą.

W następstwie tych rozmyślań uznała że czas już pomówić z synem, i przygotować go aby starał się umieć skorzystać z pobytu w ich domu panny de Longvilliers.

Gdy tak margrabina zasypiała kołysana marzeniami w których syn jej najważniejszą odgrywał rolę, on ze swej strony siedząc z cygarem w otwartem oknie, gotował matce większą jeszcze niż ona jemu niespodziankę. Postanowił nazajutrz zaraz otworzyć jej swe serce, gdyż czuł iż może zbraknie mu sił na dotrzymanie przyrzeczenia danego Armandowi de Malseigne, teraz, szczególniej gdy będzie miał sposobność częściej widywać Elianę i rozmawiać z nią bez świadków. Dotąd do dotrzymania tego przyrzeczenia, dopomagał mu jakiś niepokój zamieniający się w przestrach, ilekroć pomyślał coby uczynił gdyby obawy przyjaciela miały się urzeczywistnić. Nie chciał naprzód zastanawiać się nad tem; czuł jednak iż nie powinien mówić z Elianą dopokąd nie rozjaśni tej wątpliwości. Jak od trzech już miesięcy, cieszył się jej obecnością, a od czasu przybycia do Erlon, cieszył się jeszcze nadzieją, że matka nietylko nie będzie stawiać przeszkód, ale dopomoże do urzeczywistnienia najgorętszego jego pragnienia. Utwierdziły go jeszcze w tem przekonaniu serdeczne słowa margrabiny zwrócone do Eliany, i one to, gdy oczy jego spotkały oczy kuzynki, uczyniły tak wymownem jego spojrzenie, że myślała o nim jeszcze rozplatając swe piękne włosy, a potem długo, długo, nie mogła zasnąć.

Jednak nazajutrz wstała równo ze słońcem i pośpieszyła otworzyć okno, aby przypatrzyć się w dzień krajobrazowi, który ją tak zachwycał wieczorem. Stanęła jak oczarowana spojrzawszy na śliczny widok roztaczający się przed jej oczyma. Lekka mgła unosiła się jeszcze nad płaszczyzną wśród której wijąc się łagodnie płynęła Sekwana, ale pierwsze promienie słońca ozłacały już pagórki zamykające widnokrąg, równie jak wierzchołki drzew w parku i sąsiednim lesie. Kwiaty rosnące w ogrodzie pod jej oknem, roztaczały woń upajającą i żywością swych barw pociągały oczy, a dalej trawnik zielony, przetykany drobnemi kwiatkami, ciągnął się aż do drogi idącej wzdłuż rzeki. Eliana oddychała z upojeniem świeżem rannem powietrzem, i czuła się niewymownie szczęśliwą; szczęśliwą z tego że jest młodą, że słońce świeci tak pięknie, i sama już nie wiedziała dla czego jeszcze, ale miała jednak to przeświadczenie że była szczęśliwszą jak zwykle.

Szósta godzina wybiła gdy włożywszy słomkowy kapelusz zeszła cicho ze schodów, sądząc że wszyscy śpią jeszcze; ale zaledwie wszedłszy do ogrodu, spotkała pannę Sylvestre która wypocząwszy po wczorajszem zmęczenie, wstała o zwykłej godzinie, a teraz szła do kurników i do warzywnego ogrodu. Eliana oświadczyła że z prawdziwą przyjemnością towarzyszyć jej będzie, a panna Sylvestre przekonała się wkrótce że Eliana miała upodobania prawie niezbędne dla osób mieszkających na wsi: lubiła ogrodnictwo, a z przyjemnością zajmowała się drobiem i nabiałem. Szły dalej razem rozmawiając wesoło, i z niemałem zadziwieniem spotkały Raynolda przy furtce do warzywnego ogrodu. Wstał dwie godziny wcześniej jak zwykle,

— Jakto! pan już wstał, panie Raynoldzie, a nie ma jeszcze siódmej godziny! zawołała panna Sylvestre.

— Rzeczywiście, nie mam zwyczaju wstawać tak wcześnie odpowiedział Raynold, ucieszony tem niespodziewanem spotkaniem z Elianą, ale obudziwszy się dziś raniej nie mogłem już zasnąć, a że poranek tak piękny, postanowiłem przejechać się konno po lesie, zanim pobudzą się w domu.

— W takim razie, jak pan widzi, trzeba było wstać jeszcze raniej.

W tej chwili przyprowadzono konia Rajnoldowi.

— Jakaż to myśl wyborna! zawołała Eliana, głaszcząc grzywę pięknego wierzchowca, który zdawał się ją poznawać. Patrz tylko, mój kuzynie, Szamil cieszy się widocznie że w tak miłej porze dnia będzie mógł pogalopować po lesie. Doprawdy zazdroszczę wam tej przechadzki.

— Czemuż nie miałabyś iść za naszym przykładem? zapytał z żywością Raynold. Za dziesięć minut przyprowadzą ci Roxanę.

— Więc Roxana tu jest! rzekła Eliana, zarumieniona z radości iż zobaczy konia na którym odbywała tak miłe przechadzki.

— O! tak, już od dwóch dni przyprowadzono tu wszystkie konie wierzchowe. Idź kuzynko i włóż prędko amazonkę, a do dziewiątej godziny zwiedzimy cały park i większą część lasu. Nie namyślaj się proszę.

Eliana wachała się jednak nie wiedząc co ma czynić, gdy panna Sylvestre wmieszała się do rozmowy, i z wielkiem zadowolnieniem Rajnolda poparła jego żądanie.

— Bianka jeździła prawie codzień z bratem, rzekła, wprawdzie nie tak bardzo rano, ale to już bardzo mało znaczy. Pani margrabina wolała nawet aby jeździli rano niż w południe lub wieczorem.

— Doprawdy? rzekła Eliana. Czemu?

— Raz dla tego aby nie jeździli w tej porze gdy słońce najwięcej dopieka, a powtóre... z powodu sąsiadów.

— Sąsiadów?

— Tak, była pewną że o tak rannej porze nie spotkają się z nimi, a tym sposobem unikną wszelkich uwag i obmowy.

— Jakimże sposobem Bianka mogłaby narazić się na obmowę jeżdżąc w towarzystwie brata?

— Nie jest to przyjęte we Francyi.

— Nie wiedziałaś o tem dotąd, kuzynko, rzekł Raynold, a więc muszę cię objaśnić że są ludzie, a mamy takich dosyć w sąsiedztwie, którzy nie mogą uwierzyć aby człowiek w moim wieku, zdolnym był opiekować się siostrą bez czyjejś pomocy, choćby przez parę godzin.

— A więc w takim razie... rzekła Eliana.

— Nie jesteś moją siostrą, przerwał Raynold śmiejąc się, a więc to rzecz całkiem inna.

— Nie zbyt silny argument, rzekła rumieniąc się Eljana.

— Czyli raczej bardzo słaby, sam to przyznaję; jestem jednak pewnym że o tej porze dnia mogę ci towarzyszyć, jakkolwiek... nie jesteś dla mnie niczem... niczem więcej jak tylko kuzynką.

W dźwięku jego głosu było coś tak sprzecznego z tem twierdzeniem, że Eliana zmieszała się bardzo i chciała wrócić do domu.

— Eliano, rzekł Raynold błagającym głosem, proszę cię, nie odmawiaj mi. Panno Sylvestre, bądź łaskawa dopomódz mi; przedstaw mej kuzynce że nie żądam od niej nic niezwłaściwego.

— Rzeczywiście, rzekła poczciwa panna Sylwestre, nie dając, co prawda, tym sposobem dowodu zbytniej przenikliwości umysłu, rzeczywiście Eliano, skoro masz ochotę przejechać się konno, nie widzę dlaczego miałabyś odmawiać sobie tej przyjemności; jestem pewną, że pani margrabina nie zabroniłaby ci tego na co pozwalała swej córce.

Raynold ośmielony temi słowy, nie dozwolił kuzynce wahać się dłużej i Eliana, której ta przechadzka uśmiechała się bardzo, pobiegła włożyć amazonkę. Raynold kazał tymczasem osiodłać jej konia w kwandrans później galopowali już przez park obok siebie.

Przyjemność jakiej doznawali pędząc na swych dzielnych wierzchowcach, powiększona jeszcze świeżością poranku, pięknością otaczającej ich przyrody i szczęściem przepełniającem ich własne serca, skłaniała ich długo do milczenia. Bywają wrażenia nie znoszące szmeru słów, któremiby chciano je wyrazić. Skoro jednak przejechali za baryerę oddzielającą park od lasu, zaczęli jechać wolniej, i gdy konie ich stąpały po miękkim kobiercu z mchu a ptaki świergotały nad ich głowami, Raynold zawołał:

— Jakaż to rozkoszna przechadzka. Nigdy jeszcze ten las nie wydawał mi się równie pięknym; ta cisza, ta rozkoszna woń lasu, ten chłód tak miły, wszystko to upaja a jednocześnie jakimś błogim spokojem napełnia duszę, zwłaszcza też po dłuższym pobycie w Paryżu.

— Sądziłam, mój kuzynie, że przekładasz nad wszystko Paryż, że pobyt na wsi nudzi cię bardzo, przynajmniej zdaje mi się, że mówiłeś to nie raz.

— Przyznaję, że tak mówiłem, odpowiedział trochę zmieszany Raynold, bo też rzeczywiście nie lubiłem wsi dawniej.

— Nie mogę tego pojąć, zwłaszcza odkąd znam Erlon.

— Mnie samego dziwi to obecnie... ale składało się na to wiele rzeczy... a może głównie to, że matka moja tak umiejętnie prowadziła moje interesa. Musiałbym zadawać sobie wiele pracy, aby dojść do równej doskonałości, a więcej jeszcze gdybym chciał przejąć na siebie zajęcie, które spełniała z taką przyjemnością. Tym sposobem lata mijały, a wszystko pozostało jak było gdy miałem lat dwadzieścia.

— Jakież to jednak godne zazdrości przeznaczenie, żyć u siebie, w tak pięknej okolicy i posiadać środki do urzeczywistnienia dobrych naszych chęci, słowem żyć niezależnie, wywiązując się jednocześnie ze swych obowiązków, znaleźć nieograniczone pole działalności, a obok tego spokój tak potrzebny do zachowania podniosłości i świeżości umysłu.

— Tak, masz słuszność Eliano, odpowiedział wzruszony, *dziś* ja sam to widzę, ale dawniej... dawniej zostawałem pod wpływem tego niepokoju i tej ciekawości jakie rozbudza życie światowe; nudziłem się tu sam jeden z matką, odjeżdżałem jak najwcześniej do Paryża, wracałem o ile mogłem najpóźniej, wyrywałem się tam często...

— I cóż robiłeś w Paryżu, Raynoldzie?

Zmieszało go to pytanie, czuł że nie może odpowiedzieć na nie szczerze, a nawet spotkać bez zarumienienia jej oczu pełnych tak anielskiej niewinności.

— Co robiłem w Paryżu, rzekł nakoniec, doprawdy, Eliano, gdybyś się zapytała o to innych, może powiedzieliby ci że przepędzałem czas nienagannie, że żyjąc wśród ludzi płochych i zepsutych, byłem mniej od nich płochym i zepsutym, sądzę nawet, że używałem jak najlepszej opinii. Ale jeźli chcesz dowiedzieć się co ja sam myślałem o sobie, znajdziesz na to odpowiedź w tem co uczyniłem po trzech latach podobnego życia,

— Opuściłeś nietylko Paryż, ale nawet Francyę.

— Tak, aby znaleźć pożyteczniejsze zajęcie dla umysłu a nadewszystko zabezpieczyć się przed własną słabością. W tej porze właśnie Armand wrócił z jednej ze swych długich podróży, spostrzegł natychmiast że zbaczam na manowce, i uratował mnie namawiając do wyjazdu. Biedny Armand! radził mi abym szukał w tem środka zapobiegającego w czem on sam szukał lekarstwa.

Eliana miała wiele życzliwości dla pana de Malseigne, może pochodziło to ztąd poniekąd że Raynold był do niego bardzo przywiązany, ale z drugiej strony trudno byłoby nie dostrzedz w nim człowieka z charakterem i umysłem tak wzniosłym i szlachetnym, że jego przyjaźń była nie tylko dobroczynną ale i zaszczytną dla Raynolda.

— Lekarstwa? zapytała Eliana; na jakie cierpienia?

— Na cierpienia niegodnej go miłości.

— Niegodnej! powtórzyła z zadziwieniem Eliana.

Raynold byłby chętnie cofnął słowa, które wymówił nierozważnie.

— Nie powinienem był, rzekł, wspominać o tej ranie, teraz już prawdopodobnie zabliźnionej. Tyle więc tylko dodam, że wtenczas, jak nie raz już przed tem Armand był moim opiekuńczym duchem... ale po moim powrocie, nie on już...

Raynold zatrzymał się nagle; czuł że potok słów wyrywa się z jego serca i ciśnie się na usta, że mógłby powiedzieć więcej niż mu wolno. Szczęściem dla niego dojechali właśnie do rozdroża w lesie, i trzeba było wybrać jedną z dróg rozchodzących się w różne strony. Wahał się chwilę a potem rzekł:

— Pojedziemy tą drogą na lewo, doprowadzi nas ona do jednej z bram parku, ale pierwej zboczymy trochę na prawo, w ten śliczny las, któremu jak ci zapewne wiadomo, Erlon-les-Bois zawdzięcza swe nazwisko.

Wkrótce potem Eliana znalazła się na skraju lasu, a przed jej oczyma rozciągał się prawdziwie zachwycający widok. Był to ten sam który widziała ze swego okna, tylko że teraz pałac wznoszący się na wzgórzu nad rzeką i otoczony zielenią, uzupełniał go i dodawał jeszcze więcej uroku.

— Jakież to śliczne położenie, i jak pięknie z tąd wydaje się ten pałac i wszystko co go otacza.

— Tak, jest to piękny pałac; został całkiem przebudowanym przez mego ojca, który posiadał gust bardzo wykształcony, nie to jednak chciałem ci pokazać, ale zameczek stojący tam za rzeką.

Eliana zwróciła oczy w miejsce wskazane przez kuzyna, i spostrzegła nie wielki ale malowniczy budynek, wznoszący się nad brzegiem rzeki, prawie naprzeciwko Erlon-les-Bois.

— Jest to Erlon-du-Gué, a nazwa jego pochodzi ztąd że stoi wprost miejsca w którem dawniej przechodzono w bród rzekę, i gdzie teraz jeszcze przejść ją można w ten sposób gdy woda opadnie. Przez trzydzieści lat bez przerwy, wynajmował ten pałacyk krewny mojego i twego dziadka, Eliano, baron du Seuil. Był to wielki dziwak i odludek, ale pomimo to człowiek ukształcony, pełen gustu, i zapalony zbieracz osobliwości, tak że zamienił w końcu ten pałacyk w małe muzeum. A czy wiesz jakim sposobem dowiedziałem się o tem?

— Zapewnie odwiedzając go niekiedy.

— Bynajmniej! nie byłem tam nigdy, ponieważ nie chciał widzieć nikogo z naszej rodziny. Jakież więc było moje zadziwienie, gdy w tym roku, po powrocie do Francyi, dowiedziałem się że baron de Seuil zakończył życie, i zapisał mi wszystko co pozostawił po sobie w domu zajmowanym przez niego przez lat tyle.

— Zdaje mi się że to rzecz zupełnie prosta i naturalna, pozostawić temu umeblowanie do kogo już dom należy.

— Nie tak bardzo, gdy prócz mebli znajduje się

nietylko mnóstwo rzadkich przedmiotów, ale i biblioteka złożona z dzieł wyborowych i trudnych do nabycia, oraz drogocenne obrazy. W każdym razie nietylko że poczuwam się do najgłębszej wdzięczności dla barona de Seuil, ale przyjrzawszy się dobrze pozostawionym przez niego zbiorom, spostrzegłem taką zgodność w naszych gustach, że uczuwam jakiś rodzaj pośmiertnego do niego przywiązania, i żałuję że nie mogłem ani doznawać ani też okazać mu go dopóki żył jeszcze.

— Kiedyż objąłeś w posiadanie ten drogocenny zapis?

— Nie tak dawno. Nie domyślając się ani trochę że mnie czeka taka niespodzianka, nie śpieszyłem się z obejrzeniem tego co mi pozostawiono. Czy przypominasz sobie, Eliano, dzień w którym wszedłem do twego gabinetu, i zastałem cię tam samą.

— O! tak, przypominam sobie.

Milczeli chwilę; a potem Raynold mówił dalej:

— Przyjechałem tu wkrótce potem; przy końcu tej wiosny, która zdaje mi się najpiękniejszą w mojem życiu, w dzień prawie tak piękny jak dzisiejszy... Łatwo zrozumiesz jak miłego doznałem zadziwienia zobaczywszy tyle pięknych i cennych rzeczy, które tak niespodziewanie stały się moją własnością. Przez cały dzień oglądałem ten zbiór tak piękny i kosztowny, a następnie usiadłem w gabinecie barona, gdzie znajdowały się najpiękniejsze obrazy i ulubione jego książki. Umysł mój strudzony całodziennem oglądaniem tylu różnorodnych przedmiotów, potrzebował jak widać spoczynku, gdyż zasnąłem trzymając jeszcze w ręku rzadkie i kosztowne dzieło, i miałem sen prawdziwie rozkoszny. Promienie zachodzącego słońca, przeciskające się przez kolorowe szyby, napełniały pokój złotawem światłem: do koła mnie panowała głęboka cisza, a ja miałem to przeświadczenie że w życiu mojem zaszła jakaś ważna zmiana. Jakieś nieznane mi dotąd uczucie napełniało duszę moją szczęściem, a jednocześnie silnym niepokojem. Chciałem wypowiedzieć czego doznawałem, ale nikogo przy mnie nie było, gdy nagle uczułem że już nie jestem sam tylko. Ty, Eliano, stałaś przedemną, w tej szarej sukni którą nosiłaś wtenczas z włosami wijącemi się w długie loki, spadające aż na czarną szarfę, i mówiłem ci że to światło, to szczęście, tę całą zmianę sprowadziła twoja obecność!..

Raynold zamilkł, a Eliana patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła oczy. Czuła się równie zmieszaną i zawstydzoną jak poprzedniego dnia wieczorem; jednak umiejętność panowania nad sobą, jaka obok odwagi i niezależności okazywanych niekiedy, stanowiła wybitną cechę jej charakteru, dozwoliła jej nie okazać tego, i po chwili milczenia rzekła spokojnie, choć trochę niepewnym głosem:

— Sądzę że sen twój spełni się wkrótce, ma się rozumieć że bez poetycznych dodatków, bo domyślasz się zapewnie, mój kuzynie, że potem co mówiłeś o tym zamku, pragnę zobaczyć go jak najprędzej.

Te słowa wyrzeczone spokojnie przywołały Raynolda do rzeczywistości. Już po raz drugi o mało co nie zdradził swych uczuć, wbrew swemu przyrzeczeniu, dla tego też doznał pewnej ulgi na myśl że nie został zrozumianym, i zapanowawszy nad swem wzruszeniem obiecał kuzynce iż wkrótce udadzą się do Erlon-du-Gué. Słońce podnoszące się co raz wyżej, przypomniało im że czas wracać do domu, zawrócili więc i nie długo potem byli znów w parku. Gdy zsiedli z koni przed pałacem, Raynold był najsilniej przekonanym, że dotrzymał wiernie przyrzeczenia danego Armandowi i samemu sobie.

IX

Margrabina de Liminges siedziała w saloniku przytykającym do jej sypialnego pokoju czytając świeżo odebrane listy, gdy Eliana tam weszła. Zdjęła już amazonkę i miała na sobie białą pikową suknię, uwydatniającą blask jej płci, ożywionej w tej chwili żywszym rumieńcem jak zwykle. Uderzyło to margrabinę.

— Śliczne dziś masz kolory, moję dziecię, rzekła zatrzymując na niej oczy; widać że ci służy wiejskie powietrze.

— O! bez wątpienia, stryjenko, ale dziś wonne powietrze lasu wywołało na moją twarz te piękne kolory.

— Jakto byłaś już w lesie?

— Tak... z Raynoldem, który namówił mnie abym pojechała z nim konno.

Eliana powiedziała to pod wpływem tegoż samego uczucia, które skłaniało ją gdy była dzieckiem do wyznania odważnie swych przekroczeń. Nasuwała jej się ciągle myśl, że ta przechadzka sprawiła jej zbyt wielką przyjemność, aby mogła być zupełnie dozwoloną. W każdym razie chciała dowiedzieć się co na to powie stryjenka, i doznała prawdziwej ulgi gdy margrabina rzekła spokojnie:

— Bardzo dobrze. Cieszę się że Raynold wstał dziś tak wcześnie iż mógł ci towarzyszyć.

Zajęła się znów listami, a przeczytawszy je przysunęła do siebie mały stolik i zaczęła pisać zapominając o Elianie, która chciała odejść cicho, gdy stryjenka podniosła na nią oczy.

— Przepraszam, cię Eliano, zapomniałam że tu jesteś, rzekła z roztargnieniem, ale jestem bardzo zajęta. W przyszłym tygodniu spodziewam się gości, księcia i księżnej de Longvilliers, pana de Malseigne, Horacego de Trévals, prócz sąsiadów do których piszę właśnie... Słowem mam mnóstwo rzeczy do załatwienia.

— Czy nie mogłabym w czem wyręczyć stryjenki?

— Nie, dziękuje ci... A! i owszem, proś panny Sylvestre żeby do mnie przyszła...

Zatrzymała się, i jakby uderzona jakąś nagłą myślą, dodała:

— Nie, nie, później z nią pomówię... muszę pierwej... Możesz odejść, moje dziecię, nie potrzebuję cię teraz; później będę korzystać z twej grzeczności... Śniadanie będzie o dwónastej, do tej pory możesz rozporządzać czasem jak ci się spodoba.

Eliana oddaliła się i wchodziła właśnie na schody prowadzące do jej pokoju, gdy Raynold wszedł do sieni; zbliżył się prędko do schódów, i wsparty na ich poręczy, patrzał na Elianę, stojącą w tej chwili jakby na wyniesieniu.

— Czy matka moja jest sama? Czy mogę się z nią widzieć? zapytał trochę drżącym głosem.

— Tak, ale bardzo zajęta. Spodziewa się gości w przyszłym tygodniu.

— Kogo?

— Księcia i księżnej de Longvilliers, i innych jeszcze osób.

— Niech ich licho weźmie!

— Sądzę, rzekła z uśmiechem Eliana, że pomimo tak niegościnnego życzenia, będziesz się starał przyjąć ich z najwyszukańszą grzecznością.

— Wolałbym żeby nikt nie przyjeżdżał. Chciałbym pozostać na zawsze, sam z matką... panną Sylvestre... i z tobą Eliano!.

Eliana nic mu nie odpowiedziała, i oddaliła się wstępując wolno na schody. Raynold ścigał ją wzrokiem dopóki nie znikła mu z oczu jej biała suknia, a potem poszedł dalej i zapukał do drzwi matki.

— Przychodzisz w samą porę, zawołała wesoło zobaczywszy go, chciałam właśnie posłać po ciebie, gdyż potrzebuję pomówić z tobą w bardzo ważnym przedmiocie.

— Ja także, droga matko, dla tego jedynie przychodzę do ciebie wcześniej jak zwykle, że potrzebuję ci powiedzieć coś nader dla mnie ważnego.

Zadziwiło to margrabinę; głos Raynolda zdradzał żywe wzruszenie. Czas jakiś milcząc patrzyła na syna.

Mówiliśmy że zwykle nie zadawała sobie trudu czytania w czyjejś myśli, ale przyczyną tego było prędzej nawyknienie do narzucania innym swoich, niż brak przenikliwości. Gdy tego chciała, potrafiła równie dobrze jak ktoś inny wybadać z wyrazu twarzy co się w duszy działo. Obecnie twarz Raynolda wzbudziła w niej niepokój.

Pomimo przywiązania i szacunku do matki, był więcej kochającym niż uległym, a ich myśli i wyobrażenia nie zgadzały się często z sobą. Był zarazem czułym i gwałtownym, skłonnym do marzeń, nad czem ubolewała jak nad jakiem kalectwem, a niekiedy porywczym i nierozważnym. Przeczuwała że byłby zdolnym powziąść lada chwila i wykonać jakieś postanowienie przykre dla niej, i to przejmowało ją żywym niepokojem. W tej chwili Raynold uśmiechał się wprawdzie, ale był blady i wzruszony. Co on zamierza powiedzieć? Chciała go powstrzymać, objawić mu pierwej swoje życzenie, ale zastanowiła się że lepiej będzie wysłuchać przed tem co jej powie.

Raynold usiadł na stołeczku przy nogach matki, i tak napół klęcząc wziął jej rękę i ucałował w milczeniu. Serce biło mu gwałtownie, a chciał spokojnie mówić.

— O cóż chodzi, Raynoldzie? rzekła margrabina głaszcząc drugą ręką gęste jego włosy. Cóż tak ważnego masz mi powiedzieć?

— Tak, matko, rzekł Raynold, to o czem chcę z tobą mówić jest bardzo ważnem, tak ważnem że od tego zależy szczęście całego mojego życia... Ale nie lękaj się, nie ma w tem nic przerażającego.

— Nie ociągaj się, Raynoldzie, przystąp prosto do rzeczy.

— A więc, mówił dalej prędko i pewnym głosem, mam już dwadzieścia sześć lat, znudziło mnie już to bezczynne a gorączkowe życie jakie dotąd prowadziłem; Erlon jest miejscem prawdziwie uroczem, i pragnę w nim zamieszkać stale... słowem chcę się ożenić.

— Ah! dziecko... Czemuż nie powiedziałeś mi od razu że chcesz spełnić najgorętsze moje życzenia?

Raynold ucałował znów rękę matki którą ciągle trzymał w swych dłoniach.

— Dziękuję ci, o! dziękuję, dobra moja matko. Zezwolisz na to?.. nie będziesz się sprzeciwiać? gdyż kochasz także jak własną córkę, tę którą kocham, którą wybrałem.

Margrabina wysunęła nagle rękę z rąk syna.

— Którą kochasz?.. którą wybrałeś? *wybrałeś* Raynoldzie, bez wiedzy matki!.. O kimże mówisz?.. Nie może to być przecie..

Nasunęła jej się nagle myśl dziwna, a jednak prawdopodobna; myśl wypływająca z tego przekonania że ponieważ jej zdania i przekonania są najlepsze i nieomylne, wszyscy powinniby instynktownie stosować się do nich. Raynold widział pię-

kną Konstancyę de Longvilliers na ślubie siostry, potem drugi raz parę dni temu, i rozmawiał z nią długo... Czyby to ona?..

Jednak nie długo łudziła się tą nadzieją; inne imie wybiegło z ust Raynolda, i gdy matka zdumiona powtórzyła: „Eliana!..” on w gorących słowach wynurzał uczucie przepełniające jego serce.

— Tak, matko, Eliana!.. Czy znasz istotę piękniejszą, szlachetniejszą, więcej uroczą... godniejniejszą zostać twą córką?.. Wszak sama mówiłaś to wczoraj jeszcze!.. Powtarzałaś mi tak często że jej obecność pod twym dachem jest prawdziwym darem nieba! Była najlepszą, najtkliwszą przyjaciółką Bianki... Jest urzeczywistnieniem ideału kobiety, jaki mi się przedstawiał w moich młodzieńczych marzeniach.

Margrabina nie mogłaby doznać silniejszego wstrząśnienia, gdyby pałac rozsypał się nagle w gruzy nad jej głową. Ujrzała nagle groźną przeszkodę do urzeczywistnienia jednego z tych zamiarów, które, raz przez nią obmyślone, stawały się w jej przekonaniu prawem przed którem wszystko ustępować musiało. Była przekonaną, i nie raz słusznie, że w rzeczach tak żywo ją obchodzących jak przyszłość syna i córki zdanie jej było wytrawniejszem, i że ustępując wywiązałaby się źle ze swego względem niego obowiązku. Przez chwilę przywiązanie jej do Eliany zamieniło się w odrazę, wyrzucała sobie że ją przyjęła do swego domu... Syn wydawał jej się występnym lub szaleńcem, i o mało że, ulegając uczuciom wrzącym w jej sercu, nie wybuchła gniewem, i obrzucając Raynolda równie ostremi jak niesłusznemi wymówkami, nie osłabiła na zawsze jego do niej przywiązania. Ale margrabina pomimo swej żywości, nie tylko że nie była popędliwą, ale przebiegłą i umiejącą panować nad sobą, a prócz tego nie była zdolną zrozumieć całej doniosłości wyznania syna; fantazya tak przeciwna woli matki nie mogła być trwałą. Zdawało jej się że ją zwalczy łatwo, i postanowiła nie okazywać obecnie że widzi w tem coś ważnego.

— Mój drogi Raynoldzie, rzekła z udanym spokojem, gdy syn wpatrywał się w nią z wyrazem niecierpliwości i trwogi, pojmujesz zapewnie że to co mi powiedziałeś nigdy nie postało w mej myśli. Nie przeczę że Eliana jest miła i ładna, że jak powiedziałeś, kocham ją jak własną córkę, lecz gdyby nią była rzeczywiście, a tem samem twą rodzoną siostrą, to małżeństwo między wami wydawałoby mi się prawie tak samo niepodobnem jak obecnie.

— Niepodobnem! zawołał Raynold.

— Jest twoją stryjeczną siostrą, mówiła dalej margrabina; ojciec twój miał wstręt do podobnych małżeństw, a ja postanowiłam że nie pozwolę nigdy zawierać ich moim dzieciom. Nakoniec, jakkolwiek Eliana nie jest zupełnie pozbawiona majątku, zachodzi pod tym względem tak wielka różnica między twojem a jej położeniem...

Raynold powstał gwałtownie stając przed matką która zadziwiona tem zamilkła.

— A więc... a więc matko, rzekł z tłumioną goryczą, w obec tych przeszkód tak wielkich, to co powiedziałem nie ma najmniejszego znaczenia?

Stał z oczyma spuszczonemi, z twarzą bladą, zmienioną. Ręka jego wsparta na stoliku drżała tak silnie, że wstrząsała wszystkiem co się tam znajdowało. Margrabina podniosła się także i odezwała się kładąc rękę na ramieniu syna:

— Czy nie przywiązujesz już żadnego znaczenia do moich rad, mego zezwolenia i mych życzeń?.. Czy byłam tak złą matką, że gdy idzie o najważniejsze postanowienie w twem życiu, zdajesz się zapominać o należnem mi uszanowaniu?.. Może złożenie aktu uszanowania wydaje ci się dostatecznem, a moje zezwolenie zupełnie niepotrzebnem?...

— Matko, rzekł Raynold, słowa twoje są okrutne, i nie mogę wierzyć abyś tak myślała; wiesz dobrze iż nic nie zdoła zachwiać mego szacunku i przywiązania do ciebie; że nigdy nie wypowiedziałbym ci posłuszeństwa, choćby mi serce pęknąć miało.

Margrabina zapisała sobie w pamięci to przyrzeczenie, i czuła się spokojniejszą. Nie obawiała się o to bynajmniej aby serce jej syna miało pęknąć naprawdę, był to w jej oczach wypadek nie zdarzający się w rzeczywistem życiu. Jej obowiązkiem w tej chwili było zająć się gorliwie przyszłością Raynolda, pokierować nim rozumnie, a za rok podziękuję jej sam za to, i będzie najszczęśliwszym z ludzi.

Po chwili milczenia, odezwała się poważnie wpatrując się w syna:

— Pragnę wiedzieć, Raynoldzie, czy oznajmiłeś kuzynce twe zamiary i czy czasem nie wie w jakim celu przyszedłeś dziś do mnie.

Raynold zarumienił się, ale tylko z gniewu.

— Nie, moja matko, nie oznajmiłem jej, jak się wyraziłaś, moich *zamiarów*, dotąd więc nie wie wcale jaki zaszczyt chciałem jej zrobić, a zatem ja nie wiem także, jak przyjęłaby tę wiadomość.

Margrabina nie chciała okazać że ją obraża ironiczny ton syna, dosyć jej było powności że powiedział prawdę. Nic jeszcze nie było straconem, trzeba tylko zyskać na czasie. Milczała znów chwilę, ale gdy spostrzegła że twarz syna staje się coraz posępniejszą, rzekła z tą powagą połączoną ze słodyczą, nadającą jej tak dziwną władzę nad tymi których chciała opanować.

— Mój drogi Raynoldzie, powiedziałam ci już dosyć aby cię skłonić do zastanowienia, a teraz dodam jeszcze, iż będąc pewną że mam jedynie twe dobro na celu, nigdy nie zmienię zdania. Zresztą nie ma jeszcze nic tak groźnego... Zaręczasz mi, i wierzę temu, że nie masz zamiaru postępować wbrew mej woli. Powiedziałeś mi, czemu wierzę także, iż Eliana nie wie nic o twoich dla niej uczuciach, a nie wątpię iż sam rozumiesz że honor nakazuje ci i nadal ukrywać je przed nią. Nie mówmy już dziś o tem... Później wrócimy jeszcze do tego przedmiotu. W tym tygodniu mam załatwić wiele interesów, i rachuję na to że mi dopomożesz przyjąć jak najuprzejmiej oczekiwanych gości. Wszak biorąc ściśle, ty jesteś tu panem domu, Raynoldzie.

Była to nie bardzo właściwa chwila do przypomnienia mu tego, ale Raynold nie zwrócił na to uwagi. Wiedział już oddawna że matka jego była niechętną wszelkim zamiarom nie pochodzącym z jej natchnienia, i był na to przygotowany że spotka go z jej strony żywy opór, choćby nawet miała w końcu zgodzić się na jego żądanie. Zaślepiony tą nadzieją, złudzony pozornym spokojem matki, sądził że opór jej będzie słabszym niż się tego spodziewał; zgodził się więc dość łatwo na przedłużenie obecnego stanu rzeczy i zachowanie milczenia jeszcze przez tydzień, i przyrzekł że przez ten czas spełniać będzie jak najsumienniej obowiązki gospodarza domu, względem gości swej matki.

Zbliżył się już do drzwi chcąc wyjść z pokoju, gdy matka zatrzymała go jeszcze.

— Pojmujesz to zapewnie, rzekła, że wypada powstrzymać się od podobnych przechadzek do lasu jak dzisiejsza.

Raynold nic już nie odpowiedział i wyszedł, ale pod wpływem rozdrażnienia, nad którem nie miał czasu zapanować, pomimowolnie zamknął drzwi bardzo głośno.

Margrabina drgnęła i podniosła głowę z wyrazem niezadowolnienia, a po chwili dwie łzy potoczyły się po jej twarzy, i rzekła cicho:

— O! jakże dzieci są niewdzięczne!

Następnie napisała szybko i posłała do pana de Malseigne następującą depeszę:

„Przyjeżdżaj jak najprędzej, potrzebuję widzieć się z tobą.”

X

Pan de Malseigne nie odebrał w czasie właściwym telegramu od margrabiny, gdyż i on także wyjechał po ślubie Bianki do swej majętności w Burgundyi, i dopiero po powrocie znalazł go między listami oczekującemi na niego. Pojechał natychmiast do Erlon, ale gdy tam przybył inni goście margrabiny wyprzedzili go już o kilka dni. Było już po dziewiątej; prócz zwykłego towarzystwa zastał jeszcze wiele osób z sąsiedztwa, i salon był tak napełniony, że gdy wszedł nikt nie zwrócił na to uwagi, prócz margrabiny.

— Jesteś nakoniec, Armandzie! zawołała opuszczając swe miejsce obok księżnej de Longvilliers. Wyglądałam cię tak niecierpliwie... Czemu nie przyjechałeś wcześniej?.. Dla czego mi nie odpisałeś?..

Gdy Malseigne przedstawił jej powody swego opóźnienia, dodała cicho i śpiesznie:

— Nie mogę teraz mówić z tobą, Armandzie, ale zostań tu w salonie gdy się goście rozjadą... Byłam bardzo zatrwożona!.. Teraz uspokoiłam się trochę, chociaż!.. Opowiem ci to później... teraz niepodobna!

Wróciła na swoje miejsce, gdy tymczasem Malseigne, któremu łatwiej było niż sądziła, domyśléć się powodu jej niespokojności, szukał oczyma osób które tak szczerze go obchodziły.

Księżna de Longvilliers siedziała na kanapie obok margrabiny, a nieco dalej baronowa de Crécy i kilka dam z sąsiedztwa, z których jedna odznaczała się tak swą toaletą jak żywością malującą się w ruchach i twarzy. Była to pani de l'Héris, młoda wdowa, uważana w całej okolicy za osobę dystyngowaną i pełną elegancyi, co może byłoby prawdą gdyby miejsce jej zamieszkania, miasteczko C., było tak daleko od Paryża, aby nie mogła przywozić z niego strojów i dowcipu i była zmuszona poprzestać na swojem. Towarzystwo jej stawało się prędko nużącem, zwłaszcza dla osób które chciała olśnić; potrafiła jednak tego wieczora, dzięki ożywionej rozmowie, zatrzymać przy sobie czas jakiś Raynolda, pana de Trévals, księcia Longvilliers i kilku innych, lecz w końcu dwaj pierwsi cofnęli się w głąb salonu, inni poszli za ich przykładem, a książę usiadł przy baronowej des Fougèrs posiadającej dobra w tej okolicy, którą widywał niekiedy w Paryżu. Tym sposobem przy pani de l'Héris pozostało tylko dwóch jej zwykłych wielbicieli, z których jeden, Edgar Deshaies, w prostocie ducha widział w niej przedstawicielkę wielkiego świata, do którego wzdychał napróżno; drugi zaś, młody literat, Oswald Fleuriet, wybrał ją sobie za muzę, i odbierał od niej natchnienie, które ona czerpała w *ognisku inteligencyi* jak wyrażał się zawsze mówiąc o Paryżu. Tak jeden jak drugi nie przedstawiał się jednak korzystnie w tej chwili; szlachetne rysy i arystokratyczna postawa Raynolda, oraz swobodna elegancya pana de Trévals, nasuwały pani de l'Héris uwagi i porównania nie zbyt pochlebne dla jej wiejskich wielbicieli. Dla tego też zapewnie opuściła swe miejsce i zbliżyła się do Eliany, panny de Longvilliers i dwóch córek pani de Fougères, stojących przy fortepianie. (*D. c. n.*)

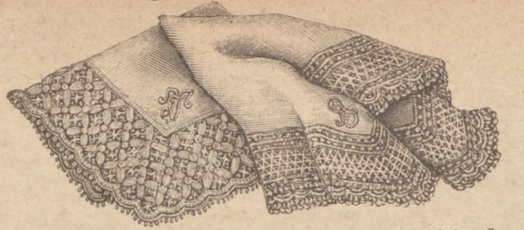
Opis do N-ru 4.

(Dokończenie).

N. 18—21. Ubrania dla dzieci.

N. 18. Sukieneczka dla dziewczynki lat 3—5.

Odrobiona formą paletocika z blado niebieskiego kaszmiru, przybrana jest haftem maszynowym na tle białem i materyą jedwabną. Guziczki z konchy perłowej dane dwoma rzędami. U dołu podszyta fałdowana falbanka Pasek ze złotawej skórki.



N. 1—2. Chusteczki do nosa zdobne koronką irlandzką lub szydełkową. Patrz r. 3 tudzież r. 20-21 w N. 3.



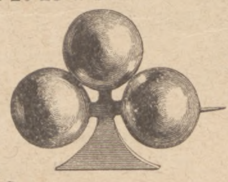
N. 5. Kubeczek do popiołu. Patrz ryc. 6.



N. 8. Brosza srebrna oksydowana.



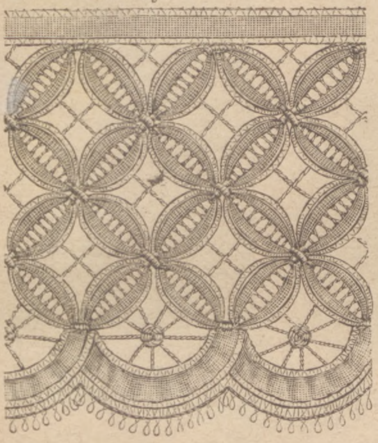
N. 10. Woreczek do robót. Patrz r. 11.



N. 9. Brosza w kształcie listka koniczyny.

N. 19. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8.

Do spódniczki fałdowanej ze szkockiego tartanu, 60 cent. długiej, włożony paletocikowy staniczek z gładkiego oliwkowego szewjotu, z kamizelką szkocką 12 cent. szeroką. Brzegi stanika i wykładanego kołnierza naszyte wązką pletnią. Plisowanie dane u dołu przodów liczy 9 cent. szerokości, plecy zaś zakończone wolantem 24 c. szerokim.



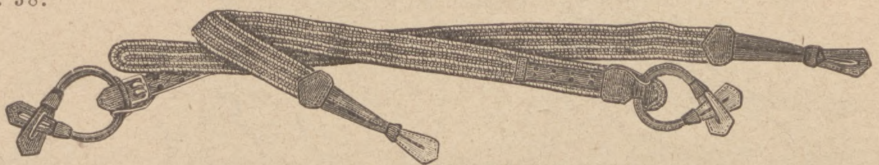
N. 3. Koronka irlandzka do ryc. 1.

N. 20. Ubranie dla chłopczyka lat 4—7 Czapka podług ryc. 38.

Majteczki i żakietka przyciśnięta paskiem, uszyte z grubego sukienka, zakończone rzędami stębnówki i zapięte na rogowe guziki. Kołnierz płócienny marynarski; buciki ze sztylpami. Czapeczka jersey podług ryc 38.



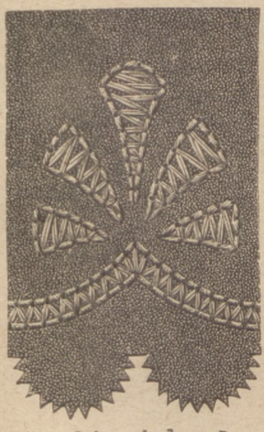
N. 13. Poduszka do kanapy. Patrz r. 14.



N. 12. Szelki szydełkowe. Patrz r. 42.

N. 21. Sukieneczka z szarfą, dla małego chłopczyka.

Odpowiednia na ubranie spacerowe w dnie chłodne uszyta jest z sukienka na flanelowej podszewce. Długa bluza zapięta na



N. 6. Szlaczek do r. 5.



N. 14. Szlaczek dany na szwie, do r. 13 i 15.

dwa rzędy dopełniona krótką fałdowaną spódniczką, przyszycie której przykrywa szarfa 30 cent. szeroka, oszyta frendzlą, dana z kolorowego kaszmiru podwójnie wziętego. Kołnierz i mankiety naszyte pletnią czarną i białą; podłużny wykrój dopełniony gładką kamizelką. Majteczki z tego co suknia materyału. Guziki metalowe.



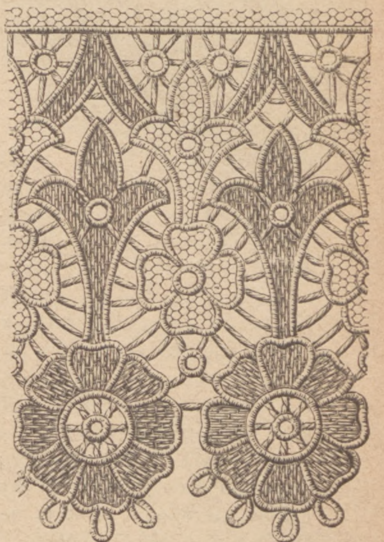
N. 15. Szlak do ryc. 13.

N. 22. Suknia zdobna wyszyciem ze sznura.

Suknia kaszmirowa, koloru żandarmskiego, zakończona u dołu plisowaniem, ma spódnicę z przodu i z jednego boku złożoną w podwójne kontrafałdy 7 cent. szerokie, z drugiego boku miejsce trzech kontrafałdów zastępuje 20 cent. szeroki pas wyszycia sutaszem. Tylny bryt sukni zakończony wolantem 45 cent. szerokim, w górze przykryty draperyą ułożoną z bryta 140 c. długiego a 110 szerokiego. Krótkie przednie upięcie dane z dwóch kawałków, z których jeden 62 c. długi, 48 szeroki przechodzi z przodu na fałdowanej spódnicy, drugi zaś 90 cent. szeroki, 110 długi, z boków sfałdowany do 25 c. stanowi upięcie boczne i łączy się z tylną draperyą. Stanik bawetowy odpowiednio do spódnicy ma kamizelkę wyszywaną, na której zapina się tylko na dwa guziczki.



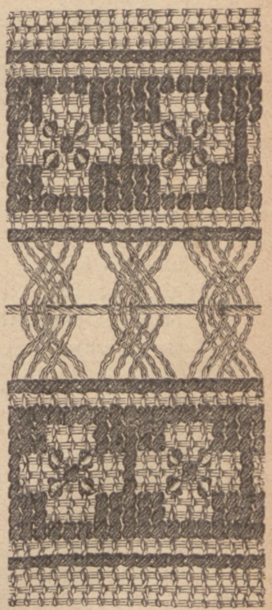
N. 7. Przykrycie na kinkiet.



N. 4. Koronka haftowana na tiulu.

N. 23 i 44. Suknia z paskiem bawetowym.

Ryc. 23 i 44 przedstawiają suknię z blado różowego kaszmiru, zdobna takimże atłasem i żółtawą koronką, zaś pasek bawetowy i kokardy są z aksamitu koloru bordeaux. Przybranie spódnicy 60 cent. szerokie składa się z 8 c. szerokich falbanek plisowanych atłasowych 10 cent szerokich koronkowych. Szalowe upięcie przerzucone z długiego prostego bryta, wyżej zaś idące upięcie à panier fałduje się z bryta 200 c. długiego a 52 szerokiego. Draperya tylna ułożona z dwóch brytów oszytych koronką.



N. 11. Wyszycie i kratka do r. 40.

Stanik przyciśnięty paskiem ma plecy złożone w ośm, przody w cztery fałdy i ozdobiony jest szerokim kołnierzem koronkowym, z aksamitną kokardą. W pasek bawetowy związany z tyłu szarfą aksamitną wszyte są fiszbiny zapobiegające od zwijania.



N. 16. Narożnik na ścieg gobelinowy i krzyżykowy do r. 44 w N. 3.

N. 42 i 43. Ubranie domowe.

Spódnica układana w potrójne kontrafałdy, 8 c. szerokie; na fałdzistą szalową draperyę potrzeba bryta 82 c. szerokiego, a 200 długiego, który z boków zebrany jest w fałdy do 27 cent. i przyszyty na przednim brycie; tylne upięcie dane z bryta 110 c. szerokiego, a 128 długiego, który nakształt frakowej baskiny spada do dołu. Brzegi stanika zdobi pliska aksamitna, odznaczająca wzdłuż przodów wąziutką kamizelkę; kołnierzyk stojący i mankiety aksamitne; dwa rzędy okrągłych złotych guziczków stanowi przyozdobienie.

N. 25—26. Suknia z tuniką. Patrz r. 32 w N. 3.

Ryc. 25 przedstawia ubranie z ciemno oliwkowego adamaszku i ciemno granatowego atłasu, a na ryc. 26 widzimy suknię czarną atłasową, której spódnica układana w potrójne kontrafałdy, zaś do r. 25 spódnica plisowana, przybrana jest dwoma szerokiemi pasami adamaszkowemi. Na tunikę potrzeba kawałka materyału 140 c. długiego a 260 szerokiego, który w przedniej połowie w górze zastębnowany jest w równie fałdki na 8 cent. długości. Długość tuniki z boków skrócona jest do 56 c. przez zebranie 9 fałd zakładanych w górę; na podpięciu dane kokardy z wstążki 6 cent. szerokiej Z tyłu tunika zbiera się w dwie poczwórne kontrafałdy i podpina podług ryc. 26. Krótki stanik bawetowy ma z przodu dodane fałdowanie atłasowe 25 cent. długie, z boku zakończone kokardą. Kołnierzyk stojący i żabot z koronki. Na r. 32 w N. 3 daliśmy rękaw z mankietem przypinanym, który można założyć wyżej lub niżej.

N. 27. Suknia zdobna wyszyciem.

Na sukni z ciemno zielonego sukienka, efektownie odznaczało się wyszycie z płaskiego, wełnianego sutaszu z okrągłego jedwabnego sznureczka, do którego deseń znajdą czytelniczki w przeszłorocznych N-rach. Spódnica zakończona wolantem w kontrafałdy, 14 cent. szerokim, przysłonięta jest tuniką, której dolną połowę stanowi bryt prosty, prawie całkowicie zajęty haftem, a górną składa szalowe upięcie, dopełnione z tyłu bufami. Stanik z przodu bawetowy, z tyłu przedłużony w baskinę frakowa fałdowaną, ozdobiony jest wyszyciem 6 cent. szerokiem. Kołnierz i mankiety pluszowe.



N. 22. Suknia zdobna wyszyciem ze sznura. N. 23. Suknia z bawetowym paskiem. Patrz r. 44.

N. 28. Ubranie domowe.

Na spódnicy plisowanej z gładkiego materyału, dana tunika z materyału w kratę z przodu spuszczona w ząb szpiczasty, z tyłu suto podpięta w bufy. Gładki stanik z baskiną fałdowaną z tyłu, zapięty z boku na kryte haftki, ma kamizelkę z materyału w kratkę.

N. 29. Szlak wyszyty kolorowo na płótnie.

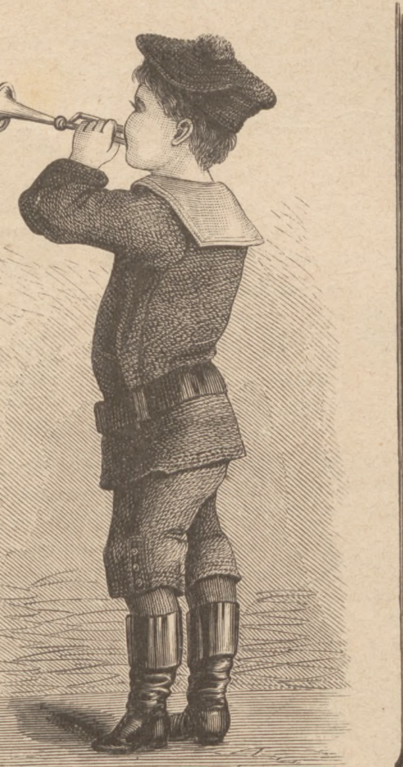
Tło stanowi płótno tak grube, iż liczenie w niem nitek nie przedstawia żadnej trudności; do haftu użyty kordonek wzięty pojedynczo do dziergania, a podwójnie w innych ściegach. Najłatwiej zacząć deseń od kwadratu odznaczonego kratką.



N. 29. Szlak wyszyty kolorowo na płótnie.

N. 30. Szlak wywodzony na siatce

Tło siatkowe odrobione z jedwabiu bordeaux a deseń wyszyty ściegiem zwanym point de reprise nitką złotą i srebrną w gałązkach, a jedwabiem zielonym i bronzowym na liście.



N. 20. Ubranie dla chłopca lat 4—7.



N. 18. Ubranie dla dzie czynki. N. 19. Sukienka z paletocikowym stanikiem.



N. 21. Sukienka bluzkowa dla chłopczyka lat 4—6.



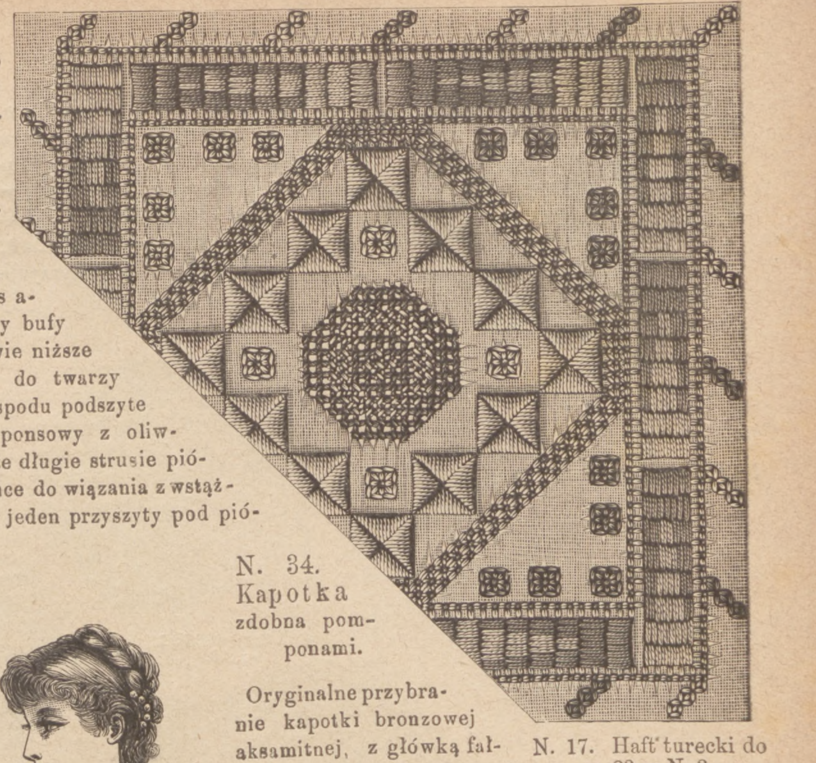
N. 26. Suknia z tuniką. Patrz r. 25. N. 27. Suk zdobna haftem. N. 28. Ubranie domowe.

N. 31. Kapelusz okrągły zdobny piórami.

Fason pokryty czerwonawo bronzowym aksamitem, ma rondo z jednej strony płasko spuszczone, z drugiej wysoko odwinięte. Główka 10 cent. wysoka, pokryta fałdowanym aksamitem, przepiętym z przodu i z tyłu podłużną klamrą. Trzy krótkie cieniowane strusie piórka zachodzą z boku na rondko.

N. 33. Kapotka z marszczonem rondkiem.

Główka pokryta jest gładko, a na rondo wzięty szeroki skos aksamitny, przemarszczony w trzy bufy suto nafałdowane, z których dwie niższe liczą po 3 cent., a wyższa idąca do twarzy 5 cent. szerokości. Rondko od spodu podszyte materyą mieniącą się w kolory ponsowy z oliwkowym. Z lewej strony przypięte długie strusie pióro koloru vieil-or do cieniu; końce do wiązania z wstążki 9 cent. szerokiej z których jeden przyszyty pod piórem a drugi przypięty klamrą.



N. 17. Haft turecki do r. 23 w N. 3.

N. 34. Kapotka zdobna pomponami.

Oryginalne przybranie kapotki bronzowej aksamitnej, z główką fałdowaną, stanowią jedwabne pompony, od ciemno bronzowych do jasnych vieil-or naszyte brzegiem rondka. Kokarda i końce do wiązania z wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 37—38. Czapeczka Jersey dla chłopczyka.

Odrobiona jest szydełkiem z czarnej włóczki, oczkami ścisłemi, na czarnym bawełnianym sznureczku; ryc. 37 wskauje zaczęcie czapeczki i grubość sznureczka; robiąc ciągle w kółko trzeba przybierać tyle oczek aby deneczko układało się zupełnie gładko. Na główkę sześcioletniego dziecka, czapeczka liczy mniej więcej 25 cent. średnicy. Po skończeniu denka robi się dolną część czapeczki 5 c. szeroką w której gubi się stopniowo oczka tak aby ta część zupełnie odpowiadała szerokości denka i stanowiła jego spód. Pasek czapeczki otaczający głowę liczy 50 c. obwodu a 4 i pół szerokości, zaczynając go trzeba zmierzyć główkę dziecka i zastosować do objętości. Pasek ten podszywa się ceratką lub skórką a na wierzchu czapeczki dodaje pomponik.



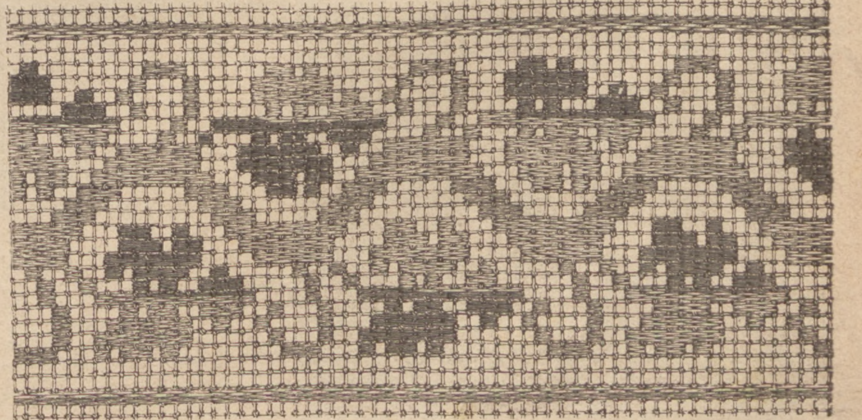
N. 24. Ubranie domowe. Patrz ryc. 43. N. 25. Suknia z tuniką. Patrz r. 26 tudzież r. 32 w N. 3.

N. 40. Kołnierz z aksamitu i koronki.

Plastron ścięty szpiczasto do dołu, liczy 24 c. długości a 18 cent. szerokości w górze, z boków kołnierz wycięty jest w zęby, po 2 c. szerokie a 4 i pół długie, wykrój szyi wszyty w pasek stojący. Ogarnirowanie z koronki saskiej 7 c. szerokiej, dodaje się podług r. 40 i stanowi wzdłuż brzegów przednich falbankę plisowaną, a w zagłębieniach zębów dane wachlarzowo. Do zapięcia służą kokardki ze stalowemi sprzączkami.

N. 41. Kołnierz koronkowy.

Podstawę kołnierza wycina się ze sztywnego tiulu, w formie plastronu 31 cent. długiego, do dołu ściętego szpiczasto i pokrywa drobno zaplisowaną koronką saską, 7 cent. szeroką. Takaż koronka wachlarzowo układana otacza brzegi, a w około szyi stanowi szeroką riuszę ułożoną w kontrafałdy i przyczepioną do paska muślinowego. Kokardy aksamitne.



N. 30. Szlak wyszyty na siatce.



N. 31. Kapelusz zdobny piórami.

N. 45—46. Serwetka.

Tło liczące w kwadrat 25 c. jest z materyału Jawa koloru szarego (ficelle) i przez wyciąganie nitek podzielone jest w kwadraty, z których jeden wskazuje w naturalnej wielkości r. 46. Na kwadracikach dane wyszycie ściegiem luźnym bawełną ponsową i bronzową, niebieską i nitką żółtego jedwabiu. Brzegi tła otoczone ramą z pluszu 6—8 c. szeroką i zamocowane dzierganiem, przy którem dane małe kolorowe kwaściki.



N. 36. Serwetka dla dziecka.



N. 32. Kapelusz filcowy z pluszowem rondem.



N. 37. Zaczęcie denka do ryc. 38.



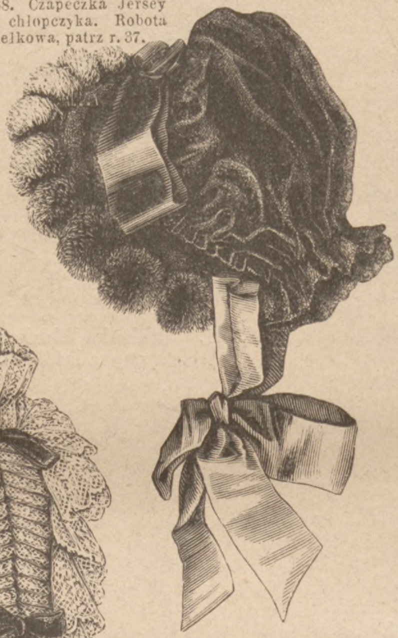
N. 38. Czapeczka Jersey dla chłopczyka. Robota szydełkowa, patrz r. 37.



N. 39. Torebka ręczna.



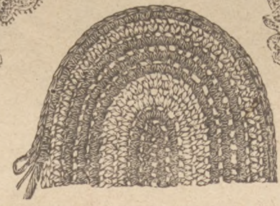
N. 33. Kapotka z bufawanem rondem.



N. 34. Kapotka zdobna pomponami.



N. 40. Kołnierz chusteczkowy z aksamitu i koronki.



N. 42. Część roboty szydełkowej do r. 12.



N. 41. Kołnierz koronkowy.



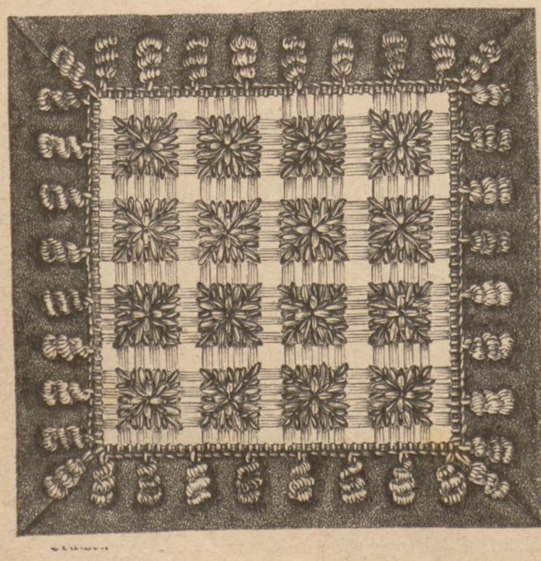
N. 43. Plecy do r. 25.



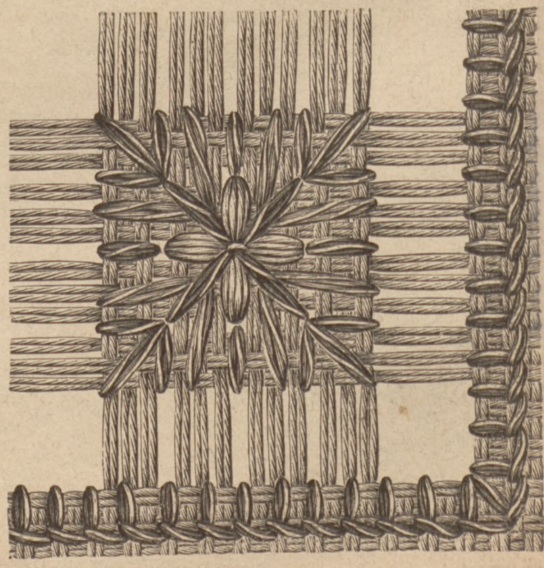
N. 35. Kapelusz aksamitny.



N. 44. Plecy do r. 23



N. 45. Serwetka. Patrz r. 46.



N. 46. Część tła do r. 45. Wielkość naturalna. Wyszycie na materyale Jawa.



Pl. 528.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.